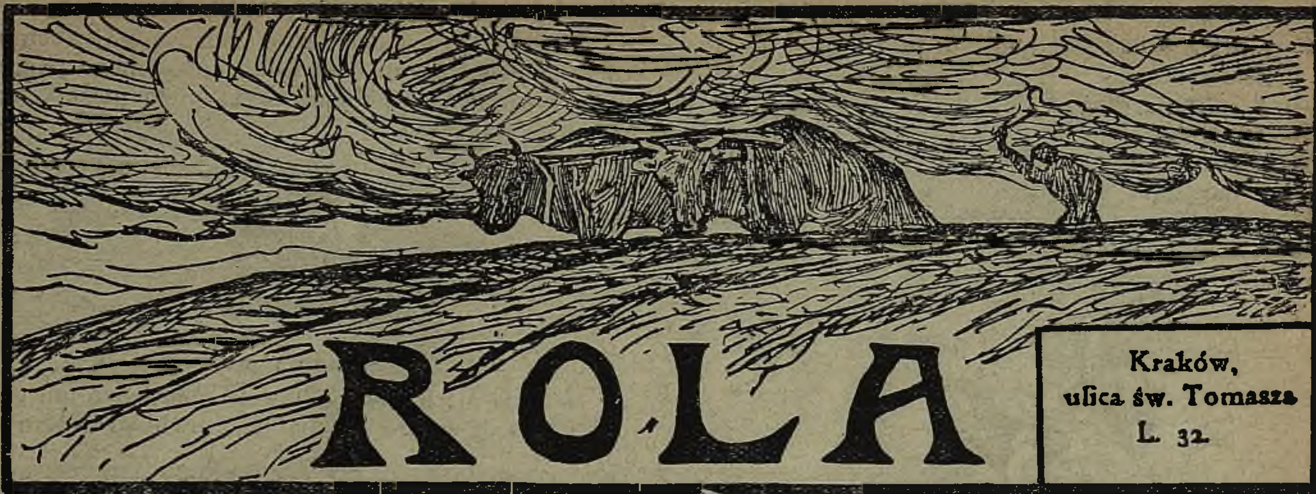
Numer 5. Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 2 Lutego 1930



Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Nowe zwierzę.

— Iciu! Z czego jest twój surdut?

— Ze sukna.

— A sukno z czego?

— Z wełny.

— A wełna?

— Z barana.

— Od jakiego zatem zwierzęcia masz ten czarny surdut?

— Od mojego tate!

Nasze dzieci.

Matka do kilkoletnich dzieci: Kaziu, Maniu, pożegnajcie się z ciocią. No, co się mówi, jak ciocia odchodzi?

— Chwała Bogu, że ta kwoka już sobie idzie.

Naodwrót.

Żydówka wpada do lekarza i woła:

— Panie doktór! niech pan doktór ratuje, bo mój Icyk zwarjował!

— A po czem to pani poznajesz?

— Ny, bo on jadł szynkę.

— I nic więcej?

— I tę służącą Kaśkę, co jest chrześcijanką, pocałował.

— To jeszcze nie dowód, że zwarjował!

— Wie hajst? nie dowód? A kiedy byłby dowód, że zwarjował?

— Gdyby Kaśkę zjadł, a szynkę pocałował.

Dobra rekomendacja.

— Czy tylko dosyć jesteś mocny, mój kochany?

— Niech się pan o to tylko spyta mego poprzedniego pryncypała; jednem uderzeniem pięści złamałem mu dwa żebra.

Pomogła mu.

— Moja Michałowo, jakeście mogli być tak gwałtowni, żeście swego chłopa po głowie drewnem wybili?

— Ano, kiej nie mógł sam sobie wybić z głowy tej Józefowej, to mu pomogłam.

Nasze dzieci.

— Czy pana boli brzuch?

— A często.

— Och, to pana musi bardzo boleć.

— Dlaczego?

— A bo pan ma taki duży brzuch.

Dwaj synowie.

— Wielu macie synów?

— Dwóch: jeden jest kasjerem w banku, a drugiego już schwytali.

Numer 5. Rok XIII. Kraków, dnia 2 lutego 1930.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Preaumerata na rok 1930: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz., półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy.
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli«: **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek 500 868.

Matka Boska Gromniczna.

Choć jeszcze zima nie minęła, choć jeszcze do wiosny daleko, a już w sercu budzi się nadzieja, że co najgorsze przeminęło, a radość wiosny z dniem każdym bliższa. Powiada piękna legenda, że w dzień Niepokalanego Poczęcia, 8 grudnia, Marja Panna opuszcza ten świat na czas pewien, aby cieszyć się swem szczęściem w niebie, a powraca dopiero nań w święto Gromnic, aby znów przez rok cały przebywać wśród ludzi. I dlatego przez cały niemal grudzień i styczeń tak smutno na świecie. A radość zaczyna się dopiero, gdy znów w Gromnicę Najświętsza Panienka powróci do nas, aby być z nami przez wiosnę uroczą i miłe lato.

Tak mówi legenda, a potwierdza to i życie samo. Choćby była zima najsroższa, to gdy nadejdą Gromnice, jakaś otucha w serca ludzkie wstępuje, że już co najgorsze przeszło, a zaczną się dni jaśniejsze, które z każdą chwilą do tak oczekiwanej wiosny nas zbliżają.

Jak większość świąt katolickich, tak i święto Matki Boskiej Gromnicznej wzięło swój początek z obrzędów pogańskich. Rzymianie, zdobywszy niemal świat cały, co pięć lat robili spis ludności i ściągali podatki. Gdy je zebrali, na podziękowanie bogom w miesiącu lutym urządzali pochód hałaśliwy z pochodniami przez miasto. Gdyby Kościół katolicki chciał był usunąć ten zwyczaj, zapewne spotkałby się był z oporem. Postąpił więc inaczej: sam zwyczaj zachował, ale nadał mu inne podstawy: Papież polecił, aby dnia 2 lutego duchowieństwo katolickie odbyło po ulicach Rzymu procesję, wśród której jaśniały tysiące pochodni, a tysiące głosów śpiewały pieśni na cześć Marji Panny. Z czasem pochodnie zastąpiono świecami woskowemi, które przed procesją poświęcano i zwyczaj ten z Rzymu rozszedł się po całym świecie i przechował do czasów obecnych.

Jakże pięknie wyglądają świątynie Pańskie w dzień Oczyszczenia Najświętszej Marji Panny. Setki pobożnych klęczy przed ołtarzem Pana nad pany, chyląc kornie głowy ku ziemi, a ponad nimi migają jasne płomyki gromnic, jakgdyby z ciał pochylonych modły szły ku niebu. Płomienie migają, a z ich ruchami wychodzą z ust pobożnych pokorne prośby ku Tej, która sama będąc Najczystszą, żądała oczyszczenia — wychodzą prośby, aby Najświętsza Panna uprosiła ludowi oczyszczenie z wszelkich grzechów, popełnionych w chwilach zapomnienia się.

W modlitwach przy poświęceniu gromnic kapłan prosi Boga, aby swą nauką i łaską umysł ludzki oświecił, a miłością serca ich zapalał; by szatan, książę ciemności, ze wszystkich miejsc, gdzie będą zapalone, uciekał. Dlatego też zapaloną gromnicę wkładamy w rękę umierającego, aby doń zły duch w ostatniej chwili życia nie miał przystępu, aby światło jej prowadziło duszę człowieka tam, gdzie istnieje światłość nigdy nie przemijająca.

W domach magnackich rozdawano dawniej poświęcone gromnice między lud, aby były one ludowi temu przypomnieniem tej światłości wiekuistej, która go czeka po trudach tego życia doczesnego.

Zdarzają się też zabobonne nadużycia owej błogosławionej świecy. Oto w niektórych okolicach dziewczęta w dniu Oczyszczenia opalają sobie włosy gromnicą, wierząc, że to je uchroni od pioruna. Oczywiście jest to zabobon grzeszny i praktykować go nie należy.

Dodawanie jednak wosku z gromnicy do maści leczniczej nie jest zabobonem, bo oznacza ono jedynie wiarę w łaskę Boską, jaka jest przywiązana do poświęcanej gromnicy.

HENRYK RÓŻYCKI.

SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

Jęki rannych, nawoływania rodowe uczestników uroczystości, zlały się w jeden ogłuszający wrzask i echem pognały po lesie.

Młodzież za przykładem Skuby złapała za siekierki i natarła na wroga, a za nimi porwali się do broni starsi.

Zawrzała mordercza walka.

Porzucone w trawę głownie przygasły i dymiły czarnym, przepojonym żywicą dymem, a ognisko niepodsycane zamieniło się w kupę żarzących się węgli.

Przeniesieni nagle z oślepiającego blasku ogni w ponurą ciemność, nacierali na oślep, uważając tylko na zawołania rodowe, by przez pomyłkę, nie zadać razu swemu.

Normandowie, zaskoczeni niespodziewaną obroną, na widok poległych towarzyszy, zawachali się chwilę. Lecz przynagleni przez wodzów skupili się ciaśniej i kupą odpierali razy.

Wkrótce jednak poznali, że muszą ulec przewyższającym ich liczbą krajowcom, więc zaczęli się cofać ku swym łodziom, ograniczając się tylko na obronie.

Skuba wnet poznał, że zwycięstwo ich bliskie, więc krzyknął na swoich, a sam wpadł w sam środek Normandów.

Naraz, chcąc zadać cios, potknął się na leżącym w trawie trupie i runął, jak długi, na ziemię...

Chciał powstać, lecz nie mógł. Czuł tylko, że mnóstwo rąk, z piekielnym hałasem ciśnie go do ziemi, że wytrącono mu oręż, a ręce i nogi opasują mu coraz mocniej zwoje mocnego łyka.

Szarpnął się raz i drugi, a poznawszy bezskuteczność wysiłku, legł spokojnie.

— Widać ten sam los, co mojej Salwidzie, zgotowali mi bogowie — pomyślał.

Skrępowanego wnieśli do łodzi i spiesznie popłynęli w górę rzeki.

Podniósł głowę i spojrzał.

Obok niego leżało skrępowanych w łykach dwóch jeszcze.

Poznał ich... Jeden, Jaksa z Tęczyna, a drugi, Topór z Pieskowej Skały...

Po jakimś czasie przybili znowu do brzegu. Załoga wysiadła na ląd, poczem po chwili, z daleka, doleciały go krzyki.

— Napadli dziewczęta! — pomyślał i zadrżał ze zgrozy.

Za chwilę wrócili i dwie kobiety skrępowane złożyli obok nich, a sami chwycili za wiosła..

Chociaż ich nie rozumiał, przecież zdawało mu się, że klęli.

Podniósł się wyżej, ile tylko pozwoliły mu skrępowane ręce i nogi, i popatrzał po łodziach.

Zdało mu się, że dużo próżnych wioseł sterczało u burtów.

XV.

Krak, zapatrzony przed siebie, z głową opartą na dłoni, siedział na podcieniu domostwa i nie słuchał nawet przyjaciela, który po raz niewiadomo już który, opowiadał swoje obawy, podczas nagłego wezbrania Wisły.

Słońce wychyliło się zza wierzchołków drzew i choć rano jeszcze, słało gorące promienie na pokryte obfitą rosą liście drzew, załamywało swe światło w perełkach wody, gęsto zawisłych na bujnej trawie i rzucało w około oślepiające blaski drogich kamieni.

Pomruk boru i monotonny szum niedalekiej Wisły, zmieszane z graniem dzikiego zwierza i świergotem ptactwa, tworzył jakąś przedziwną muzykę, która napełniła przestworza takiem jakiemś uszczelnieniem, że zdawało się, iż na głosy ludzkie miejsca tam już nie stanie.

Krak ukojony tą muzyką, nie słuchając zupełnie przyjaciela, przeskakiwał myślą z przedmiotu na przedmiot, aż utknął nad ostatnią rozmową ze Skubą i toczył ze sobą walkę, czy zostać, obalić Seminga i władzę, którą mu przez Skubę dają mieszkańcy powiśla, ująć w swe ręce, czy też wyrzec się wszystkiego i wracać do swoich rodzinnych stron nad morze.

— Zabiorę Wilję i dziś jeszcze odjadę! — powtarzał w umyśle raz po raz, jakby się obawiał, aby nie ulec jakiemu szeptowi, który doradzał:

— Zostań... Lud tu poczciwy, mężny i pracowity, to i serce u niego być musi... Zostań... wszak panowania nie weźmiesz Semingowi, bo go ten nie ma i nigdy miał nie będzie... Wszak sam mówiłeś, że on, zwyrodniała jednostka, władzy tu swej nigdy nie ugruntuje. Zostań... Rzeknij tylko, a wojowników będziesz miał moc, bo wszyscy Seminga odbieżą...

— Nie! — rzekł naraz głośno.

Porwał się na nogi i wydał rokaz.

— Gotować się do drogi!... Dziś jeszcze odpłyniemy do naszej ziemi!

— Tak nagle? — zapytał zdziwiony Raning.

— Boję się, by nie ulec czemuś, co mi ciągle szepcze... zostań!

— Więc zostań... Sumienia trzeba posłuchać, bo ono zawsze radzi dobrze.

— Nie mogę!... Tu panowanie Seminga...

Raningowi krew nadbiegła do twarzy, popatrzał przeciągle na Kraka, poruszył wargami, jakby chciał coś rzec, lecz wstrzymał się i tylko splunął przez zęby i wycedził:

— Głupi!

Poczem wszedł do wnętrza chaty, aby gotować się do drogi.

Po krótkiej chwili wyszedł znowu i stanął przed Krakiem.

— A Wilja? — zapytał.

— Ona?... Pojedzie z nami!...

— A jak nie zechce?

— Ha!... To nie wiem!....

I jak winowajca spuścił oczy ku ziemi i dyszał, chwytając się rękami za pierś.

Po chwili dopiero popatrzył w oczy Raninga i zagadał:

— Więc poradź!

— Zostać!... Władanie przyjąć, a Seminga wysłać tam, gdzie się ty dziś wybierasz.

— Przecież on, nie ja tu przybył budować państwo!...

— Zamienicie role!... Ty weźmiesz panowanie, które ci dają, a on ostatecznie otrzyma zapłatę za dziewkę i starców na Tynie według miary, jaką mu Skuba wyczynił!...

Krak złapał się za głowę i gonił w kółko, jak obłąkany, nie mogąc się zdecydować na stanowczy krok.

Naraz przystanął, bo drogę zastąpiła mu Wiedźma.

— Obroń ją przed Smokiem! — zaskrzeczała jakimś dziwnym głosem.

Krak popatrzał na starą zdumiony, nie mogąc pojąć na razie, czego od niego żąda.

Wiedźma, z włosami rozpuszczonemi na wiatr, w podartem na strzępy odzieniu i podrapaną na gałęziach boru twarzą, wodziła wokoło błędnym wzrokiem i szczękając zębami, jakby we febrze, mówiła:

— Obroń Wilję i Skubie pomóż!...

— W czem?

— Bo pewnie za chwilę pożre ich Smok!

Krak pobladł nagle i ręką sięgnął do pasa za mieczem.

— Dziś nocą, podczas święta na cześć Łady, Smok, ze swemi ludźmi, napadł na zebraną młodzież i pomiędzy innemi zabrał Wilję i Skubę w pęta! — mówiła dalej Wiedźma.

— Wilja w rękach Seminga?...

— Tak panie!

Krakowi pot kroplisty wystąpił na czoło, oczy błysły mu ogniem, a pięści zacisnął tak, że aże paznokcie wbiły mu się w ciało.

I nagle porwała go złość.

— Jakto!... Zebrana tłumnie młodzież, kwiat narodu, pozwoliła z pomiędzy siebie brać łupy najeźdźcy?!...

— Najeźdnikom nie uszło bezkarnie zuchwalstwo! — przerwała mu wróżka. — Pole zasłali trupami, bo młodzież stawiła dzielny opór, a starsi skutecznie poparli, lecz w zamieszaniu złowili dwie dziewki i trzech młodzianów, ujęli w pęta, w czem Skuba i Wilja się znajdują.

— A może zginęli? — zapytał nagle Krak i zbladł jeszcze bardziej, a ręką złapał się za serce.

— Nie!... Z naszych jest kilku ciężko rannych, którzy pod moją maścią wnet wrócą do zdrowia, lecz nikt nie poległ... Oni pewnikiem w niewoli u Smoka, bo sama widziałam, jak wiązano Wilję.

Krak utkwił wzrok w ziemię, dyszał ciężko, a zębami zagryzał wargi, że aż krew zabarwiła mu usta.

Wreszcie szepnął jakby do siebie:

— Ha!... trudno!... Chciałem cię oszczędzić, lecz sam szukasz zguby!

Zwracając się zaś do Raninga, rzekł:

— Nagotuj mi broń, idę do groty!

I kiedy Raning wszedł do chaty, Wiedźma długo coś szeptała Krakowi, przyczem znać było, że starała się go koniecznie o czemś przekonać, ponieważ giestykulowała zawzięcie.

— Więc dobrze! — rzekł wkońcu Krak i poszedł z nią do jej domostwa.

— Ze samych ócz wronich wyprażone, smołą i siarką zaprawione, że mała szczypta, posypana na barana, zupełnie wystarczy, aby był skutek... — tłumaczyła drogą Wiedźma.

Po chwili wyszedł Krak od wróżki i mały węzełek parcianej szmaty chował w zanadrze.

XVI.

Po długiem odrętwieniu przyszedł wreszcie Skuba do siebie.

Przejmujący aż do kości chłodek wyrwał go z ciężkiej apatji, że zaczął rozważać nad swojem położeniem.

Podniósł głowę i patrzył w otaczający go półmrok.

Z góry i z boków, przez szczeliny choiny wciskało się światło, lecz tak niedostatecznie, że nie mógł rozpoznać, ani gdzie jest, ani co go otacza.

Poznał tylko, że jest skrępowany mocnem łykiem i że leży na nierównym, drobnymi kamieniami zasypanym gruncie.

Dech zaparł w sobie, uwagęześrodkował w słuch i śledził szmery, chcąc w ten sposób poznać otoczenie.

Gdzieś blisko niego słyszał wyraźnie jakieś sapanie.

— Ktoś tu blisko mnie jest! — pomyślał.

— Kto tu? — zapytał półgłosem.

Coś się poruszyło i lekkie stęknięcie dało się słyszeć Skubie.

— Kto tu jest? — zapytał głośniej.

— Kto?... taki sam jeniec, jak i ty!

— Hm... to mi się zaraz tak zdało!... Ale co tu robisz?

— Co robię?... Ano leżę i czekam, skoro zje mnie smok!...

— A psia... niedoczekanie... — zaklął Skuba i niespokojnie poruszył się na swem legowisku.

Nogi powyżej kostek związane miał mocnem lipowem łykiem, a ręce złożone w tył na krzyż, przez plecy, z których każda uwiązana była w przegubie i przykrępowana kilkoma zwojami łyka do całego tułowia.

Drobne kamienie, na których leżał, wciskały mu się w ciało, co przy dłuższem leżeniu dotkliwy sprawiało mu ból.

Pragnął zmienić położenie, lecz nie mógł w żaden sposób tego dokonać.

— Ej! żeby tak choć jedną rękę uwolnić z więzów, — pomyślał.

Dech wciągnął w siebie całą piersią, przysadził się i całą siłą, na jaką tylko mógł się zdobyć, pociągnął rękami w przeciwne strony.

Lipowe łyka wyprężyły się, zaryły swe zwoje w ciało i cichutko cieńsze zwoje poczęły trzeszczeć.

Ale wysilony legł znowu spokojnie.

Za chwilę ponowił próbę.

Tym razem żaden zwój nie pęknął.

— Nie poradzę! — szepnął zrezygnowany i postanowił zdać się na los, jaki mu bogowie zgotowali.

— Byle prędzej! — szeptał i leżał spokojnie.

Na myśl przyszła nagle Salwida.

— Czy ja ją też spotkam w krainie cieniów naszych przodków?... A jak ją spotkam, jak ją przywitam?...

— Rzeknę jej, że mi tęskno było za nią, żem jej był wierny, i że... że... i urwał wątek myśli, a sam jęknął:

— Co jej rzeknę?... co? Czym pomścił ją?... czym pomścił jej rodzica?... Starżów?... Uf! źle...

Naraz porwała go ogromna złość. Złość na samego siebie za to, że oswobodził z topieli Kraka, że go usłuchał i czekał bezczynny, i że zamiast iść prosto do celu, używał innych dróg, które zaprowadziły go aże tu na to wilgotne, najeżone ostremi kamieniami łoże.

— Dobrze mi tak! — szeptał przez zaciśnięte zęby.

— A może to zemsta bogów, którym naobiecywałem dużo, a nic im nie dałem?

I w myśli zaczął wyliczać, co był bogom dłużny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

O poranku.

Zochna, podkasawszy wysoko spódnicę, weszła w wysoką, mokrą od rannej rosy trawę, płosząc pasikoniki, które w wielkich susach uciekały z pod jej nóg.

Świat pachniał cudownie, weseląc się w gwarze rozświergotanego ptactwa, złocąc w jasnem rannem słońcu. Radość życia opanowała Zośkę. Zerwała się dzisiaj wcześnie, bo ciągnęło ją w ten wonny świat okrutnie.

— Hu ha! — krzyknęła z całej piersi ku sinemu boru, skąd rozgwar dochodził ptactwa.

— Hu ha — odpowiedział niespodzianie znany głos.

Rozejrzała się, zawiedziona trochę, iż nie jest sama, upatrując Stacha.

Nigdzie nie było nikogo.

— Heba mi się zwidziało, ale nie, Stasków głos, ani chybi.

Za łączką srebrnem pasmem biegła wąska rzeczka. Ku niej szła Zośka. Rzeczka płytka była, szare kamyczki przeglądały przez wodną szybkę. Nachyliła się, splatając bujne jasne włosy. Woda dobrem była lusterkiem.

— Zośka, będzies sie kompać jak kajsi, nago, he?

— Stasek, zatraceńce jeden, pocoś za mnom łazis? — krzyknęła ze śmiechem ku smukłemu chłopcu, wysuwającemu się z gęstej łozy.

— A bom cie widział przez okienecko kiejś koło sadu leciała... i kompać sie bedzies?

Krwawe łuny buchnęły na ładną twarz dziewczyny. Przypomniała sobie, że kiedyś rankiem kąpała się...

— E tam gadas... podpatrywac, psionoga!

Na nadbiegającego chłopaka spadło kilka strumieni wody, zalewając mu oczy. Gdy przejrzał, Zochna już była w połowie rzeczki: pod jej nogami, woda rozpryskiwała się szeroko.

— Niech cię jeno dołapie, niech jeno! — krzyczał, biegnąc w jej ślady.

Gonili się przez łany świeżą zielenią zbóż porosłe, przez zorane zagony, nie zważając na nic i nikogo; oboje młodzi, zdrowi, silni.

Dopadli lasu.

Barwna spódnica Zochny migała między pniami, za nią szara kapota Stacha. Las nagle napełnił się krzykiem, czyste ranne powietrze dalekiem echem niosło śmiech młodych.

Naraz rozległ się bolesny krzyk Stacha. Wpadł nogą w wykrot, pomiędzy korzenie starego drzewa, które schwyciły go jak w kleszcze.

Zochna biegła jeszcze chwilę; potem, widząc iż Stach się gdzieś zapodział, przykucnęła pod krzakiem jeżyny, odpoczywając.

— Zacajuł sie pewnie dzie — myślała, rozglądając się ostrożnie. Ale Stacha nigdzie nie było.

— Stachu, Sta-chu chu chu — odpowiedziało echo.

Wysunęła się na jaśniejsze miejsce, kędy u stóp smukłych wysokich sosen, mech rósł aksamitny, wyzłocony cudnie słońcem i rosą.

— O la Boga Stachu cos ci to? — krzyknęła, spostrzegając szamocącego się chłopaka.

— E tam nic. Noga mi haw wlazła i siedzi w dziurze ze ani rus.

Gdy żadne wysiłki nie pomogły puściła się Zochna tą samą drogą po siekierę.

— Przerombać trza psiabestyjom to nogę puści — myślała o korzeniach, ściskających nogę Stacha. W mig przebyła rzekę, wysokie trawy łąkowe. Wkrótce wracała z siekierą.

Łoskot rąbanego drzewa biegł daleko po lesie. Zośka rąbała ile sił.

— Ino mi nogi nie utnij. — Żartował Stach.

Wkrótce noga była wolna. Obrzmiała i czerwona, z silnie do krwi zdartym naskórkiem.

Zochna daleko rzuciła siekierę, objęła Stacha za szyję i swoje czerwone świeże usta przytuliła do ust chłopaka. *E. Drzewuska.*

Bez tytułu.

Z konkursu »Roli«.

— No i co tu pisać na ten „konkurs?“ Głowię się już od pół godziny i nic wymyśleć nie mogę. Aha!... Już wiem. Nareszcie szczęśliwa myśl błysnęła mi do głowy. Najlepiej zacząć coś pisać, reszta sama się ułoży. Tak, ale o czem? Jaki temat sobie obrać? Eh!... głupstwo... Najgorzej zacząć. A więc do dzieła!...

...„Pewnego razu... Eh! takie to oklepane. Więc inaczej. „Był sobie raz... Ha! ha! ha!... sam śmiać się muszę. Spróbuję z innej beczki. Zacznę od opisywania przyrody

...„Księżyc w pełni ukazał swą uśmiechniętą twarzyczkę, rzucając snopy światła w ponure ulice miasta. Niedyskretnie zaglądał w okna mieszkańców, spowitych w twardy sen. Gwiazdki usiane na szmaragdowym firmamencie, mrugały znacząco do siebie oczkami i śledziły błądzących w późną noc ludzi...

No i co dalej?... nic?!... kiepsko! Czuję, że brakło mi natchnienia Lecz nie daję za wygraną. Ho!... ho!... ze mną, tak łatwo nie idzie. Ze mną żartów niema! Zacznę z innej strony. Możeby tak od djalogu rozpocząć. Sądzę, że prędzej coś wykołatam z tej mózgownicy. A no... spróbujmy.

...„Sługa pana inżyniera! — powitał Jacentego właściciel restauracji

— Czem mogę służyć? Co wielmożny rozkaże — pytał uprzejmie młody chłopiec, kłaniając się nisko.

— Ja proszę jak zwykle: jedną białą i dwa rożki z masłem — odrzekł Jacenty.

...no i co dalej? Na Miłość Boską, natchnijcie mnie Wszyscy Święci!... Gdybym to wiedział, kto jest Patronem pisarzy, poetów czy wreszcie piszących — tobym już „Zdrowaś Marjo“ odmówił. A tu nic... i nic mi w głowie nie świta. Nic dzisiaj moja głowa nie chce myśleć. Jakgdyby była z kamienia... z marmuru. Z marmuru?... o!... toby przecież coś wartała. Dziś za nią nie dałbym złamanego szeląga. Dość tych bredni! Muszę się naprawdę zabrać do roboty. A gdy już coś napiszę... he!... he!... he!... to proszę siadać i paluszki lizać. Spróbuję więc na oklepany temat o Indjanach. Cóż mam robić? Chwytam się ostatecznego środka. A więc... uwaga! Zaczynam.

...No i cóż mi z tego, że opiszę jakiegoś podróżnika, który wpadł w ręce okrutnych ludożerczych Indjan. Każdy już naprzód wie, co będzie dalej. A więc postawią go przed oblicze wodza „Sępiego Oka“ czy też „Rączego Jelenia“, potem przywiążą go do pala, by wzniecić ogień i pożreć żywcem spalonego. Chyba, że owemu podróżnikowi uda się zmy-

lić czujność Indjan i w ich przebraniu umknąć i nie pozwolić im ani na koniec noża spróbować tak smacznej pieczeni z jego własnego ciała. Na ten temat więc napisano już setki książek, z których niejeden czytelnik czytał kilka i niejeden raz może.

Nie! O tem pisać nie mogę. Cóżto byłby za sens powtarzać po kimś, zasłyszane już i oklepane historje. No więc jak? Nic nie wymyślę. Czy mam poprzestać na tych kilku próbach? Nie!... po stokroć razy — nie! Muszę dopiąć swego celu. Co bowiem postanowię, to choćby tam... pieron na pieronie...

Spróbuję więc inaczej. Chociaż jest codziennym, to jednak niewyczerpanym tematem. A więc coś... he!... he!... kryminalnego. Coś senzacyjnego. Każda taka niemal powieść zaczyna się morderstwem. A więc uwaga! Zaczynam. Tym razem jednak muszę moją fabułę doprowadzić do końca.

„Działo się to... — nie!... tak nie mogę. „Było to w roku... — na Boga! stój!... co czynisz moja przeklęta pało!... W ten sposób nigdy nie dojdziesz końca. Dyktuj inaczej! Więc...

„W powiatowem mieście, w komendzie policji, siedziało kilku posterunkowych, którzy prowadzili ożywioną rozmowę. Wtem drzwi otworzyły się raptownie i do środka wpadł mężczyzna z rozwichrzonemi włosami, zadyszany, nie mogąc tchu złapać.

— Co się stało? — zapytał przybyłego komendant policji.

Nieznajomy trzymał się rękoma za piersi i mimo wysiłków z jego strony, nie mógł przemówić ani słowa.

— Co się stało? — powtórzył komendant pytanie. — Mówże pan prędzej! Czy pana kto napadł?

— Mor... der... stwo!

— Gdzie? Jak? Kiedy?

— Teraz... prędko... ulica Wielka... moja... biedna... żona.

Komendant skinął na kilku policjantów i wszyscy z nieznajomym na czele pospieszyli na miejsce wypadku.

...Phi!... no i cóż dalej? Nie, nie mogę dalej. Z mojej makówki nic już nie wycisnę. Szkoda! Ale klnę się na pier... Boże przebacz — że na drugim konkursie muszę coś wydusić z mojej przeklętej pały. Dziś napiszę do kochanego redaktora, że... niestety tym razem... „nic". Niech to djabli...

Stawarz Mieczysław.

ZOSIA I JANEK.



Zamieszczony obok obrazek jest ilustracją do wiersza Adama Pługa p. t. »Pamiątki domowe«. Poeta w wierszu tym opisał dolę dwojga młodych ludzi, którzy pokochali się całą pełnią młodocianego uczucia. Ona była jedyną córką bogatej wdowy, on synem biednego, ale hardego szlachcica na zagrodzie. Dwoje młodych, Janek i Zosia, marzyli o połączeniu się dozgonnem, ale hardy szlachcic ani myśleć nie dozwalał swojemu synowi, by ten swoją szlachecką krew mógł pomieszać z krwią nieszlachcianki.

Biedny Janek nie chciał być również na łasce swej przyszłej żony. Postanowił zdobyć przedtem majątek, a dopiero później połączyć się z Zosią. W tym celu udał się na flis i przez trzy lata pracował ciężko, gromadząc grosz do grosza. Przez trzy lata pracował o chłodzie i głodzie i przez trzy łata nie mógł dać znaku życia swej bogdance, ginącej dlań z tęsknoty, ale wiernej dla umiłowanego.

Po trzech latach powrócił dopiero Janek pod dach swej umiłowanej Zosi i zastał ją przy krosienkach, utęsknioną i w niczem nie zmienioną.

Wierne dziewczę, gdy wszedł Janek pod jej dach, rzuciło się ku niemu z niekłamaną radością. Rozradowała się matka staruszka i błogosławiła młodym, którzy pomimo przeciwności dokonali swego. Dopomogła im do tego uczciwa praca i siła woli, że w przeciągu lat trzech nie ulegli pokusom, ale wytrwali i dokonali swego.

Obrazek powyższy rysował sławny malarz polski Andriolli.



Powiada Bartek od Furgaca, że zyd zyda nie oświabi, bo zyd nawet zydowi oświabić się nie da. — A to przecie nie prawda, bo jak morowy zyd trafi jesce na morowsego, to sie da ocyganić i ani święty Boże nie pomoże. A ze tak jest, to wam opowiem o jednem zydku z pod Kalisa, co się wabił Moryc Rubin.

Moryc uchodził za mądrego i gorliwego zyda, a kiedy przysły wybory do bóżnicy, to za tę mądrość i gorliwość zrobili go inksi radnem. Ale Moryc nie był takiem naprawdę. Jako kupiec jeździł duzo i między katolikami lubiał udawać niezyda. Scególniej pachniało mu świńskie ścirwo, a na widok kiełbasy, to tak mu sła ślinka, ze jaze mu się lało po gębie. I choć był zyd, to jej musiał pokostować, ale robił to tak pokryjomu, ze go na tem nikt z jego pejsatych wspólwyznawców nie złapał.

Tak było az do sądnego dnia, w którem kuzden zyd jest obowiązany zachować jak najściślejsy post i od wschodu słonka az do zachodu nic mu spapać nie wolno. Moryc choć bez cały rok nie wiele się z Panem Bogiem rachował, to przeciez na sądny dzień se go przypomniał i chciał być takusieńki, jak inksi zydzi, aby go w ten dzień djabeł nie porwał. Spał se nieco dłuzej, aby głód przespać, ale kiski tak mu zacęły grać żałobnego marsia, ze go wreście obudziły. Dzień był ładny, więc Moryc postanowił głód przechodzić. Wybrał się więc na przechadzkę za miasto. Cóz, kiedy na niescęście droga za miasto prowadziła koło sklepu rzeźnika, który zawisał w oknie świzo zrobione kiełbasy. Widok ten tak na Moryca podziałał, ze se nijak nie mógł dać rady. Patrzał bokiem, oblizywał się, chciał uciec od tego kusącego widoku, ale Moryc swoje, a brzuch swoje. Obejrzał się w jedną, obejrzał się w drugą stronę: na ulicy nie było nikogo. Wpadł do sklepu, kupił štync kiełbasy, wraził ją pod kapotę i smyk z nią za miasto, aby ją tam spałtasić gdzieś w cieniu krzaków.

I jak pomyślał, tak zrobił. Posed do lasu, znalaz miejsce skryte i z całą gorliwością zabrał się do wsuwania zakazanego specjału.

Ale ledwie przełknął jeden i drugi kąsek, zza krzaków wylazł Mendel Makower, kantor z tej samej bóżnicy. Zuźrawsy Moryca, zajadającego kiełbasę, i to w sądny dzień, rozłozył gicale na štyry strony świata i powiada:

— Aj, waj Moryc! Pfuj tobie! Coś sie ty wszczeknił, cy co, że ty stary radny w sądny dzień jesz z kiełbasą? Poczekaj! na Nowy Rok będą wybory, to ja tobie dam taką kiełbasę, że już nie będziesz więcej radnym.

Moryca jakby osiemnaście razy ślak trafił na to powiedzenie, ale co było robić. Powiada więc:

— Mój drogi Mendelku! Nie zapieram się, żem przygrzysył, ale któż z nas jest bez grzechu? Jeden tak grzysy, a drugi inacej, a kuźdy tak, jak mu jest lepiej. U Pana Boga kuźden grzych zaś jest jednakowy. Źlem zrobił, ale co się stało, to się nie odstanie! Chętnie dałbym dziesięć lat życia za to, żebyś o tem zapomniał i nie mówił nic nikomu. Zreštą, co Panu Bogu z tego przyjdzie, jak ty będzies na mnie bajki robił?

— Wie hajst? — powiada Mendel — Dziesięć lat życia? Co to jest? To nima nigdzie kursu! Co jabym robił z twojemi dziesięcioma lat życia? Czy ja znajdę na to gdzie kupca? Czyś ty do reśty zgłupiał od te twoje świńskie kiełbase? Powiedz jaką inksą walutę, co ma kurs, to zapomnę i nikomu ani nie pisne słówkiem o tem, co dopiero teraz widziałem...

— Inną walutę? — rzekł Moryc z westchnieniem. Niechże będzie i inne walute! To ja tobie Mendel dam 50 złotych, tylko nie piśnij ani pół słowa.

— No to daj ty już te 50 złote, a ja będę milczał, jak nieboszczyk szczupak i nikomu nic nie powiem, coś ty jadł w sądny dzień kiełbasę.

Moryc z westchnieniem sięgnął do kieszeni, wyjął 50 złotych i dał je Mendlowi. W chwili jednak, gdy mu je podawał, błysnęła mu jakaś myśl. Tak tedy powiada:

— Masz Mendelku te 50 złote, ale mimo to ja się boję, czy mnie ty nie wydasz. Tyś gotów te smutne historje opowiedzieć i coby wtedy było? Wis co, zeby mnie uspokoić, to ugryź i ty kawałek tej trefności, a będę zupełnie spokojny i przekonany o twojem milczeniu.

Mendel uciesony, ze nietylko zarobił tak łatwem sposobem 50 złotych, ale ze przy tej sposobności i dokucający mu głód zaspokoi, nie wiele myśląc, chwycił kiełbasę i ugryzł morowy kawałek. A wtedy Moryc wybuchnął piekielnym śmiechem i powiada:

— No teraz ty kochany Mendel dawaj 100 złotych, jak nie chces, abym zaraz jutro powiedział, ześ ty w sądny dzień jadł kiełbasę! Wyrzucą cię Mendelku z kantorstwa, wyrzucą... Pójdzie w djabły kantorstwo i dochody!...

Mendlowi jaze łzy w ślipiach stanęły, pocął błagać i prosić, ale Moryc był nieubłagany. Cóz było robić? Mendel oddał 50 złotych, dołozył drugie 50, a choć tyle skorzystał na tem, ze juz teraz na spółke z Morycem zjadł reśte kiełbasy.

I tak sprawdziła się ta prawda, ze jak zyd nima katolika do osukania, to potrafi oświabić i drugiego zyda, a Bartek od Furgaca ni ma słuśności.



Idzie luty...

Idzie luty po świecie,
Poprzez śnieżne zamiecie,
Biała na nim sukmana
Srebrnym szronem usiana.

A na głowie korona
Z pereł lodu spleciona.
Tak się błyszczy i mieni
By z słonecznych promieni...

Mroźnych włosisk kaskada
Z długiej brody mu spada,
W rękawice futrzane
Przybrał dłonie rumiane...

Kosturem się podpiera,
Wszędzie groźnie spoziera
A gdzie rzuci oczyma,
Blada przed nim drży zima.

Wielkie buty wśród drogi
Przywdział luty na nogi —
Osłonił się wichurą
Straszną czarną, ponurą.

Bystre wody w lód zmienia,
Snuje senne marzenia
I o wiośnie baśń plecie —
Idzie luty po świecie.

Kazimierz Malski.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Wybrzeża niewolnicze I.

Tam, gdzie Afryka posiada największe wgłębienie na swym zachodzie, nieco na północ od równika,



nad zatoką Gwineńską, znajduje się tak zwane Wybrzeże Niewolnicze. Jest to może jeden z najstraszniejszych zakątków świata. A grozę tę tworzy tutaj nie przyroda, ale ludność tamtejsza, której okrucieństwa nie mają granic.

Przed kilkudziesięciu laty jeszcze nie było tam ani wsi, ani miast, a nieliczna tamtejsza ludność murzyńska, trudniąca się wyłącznie rozbójnictwem na karawanach, mieściła się w jaskiniach i pieczarach. Dopiero z czasem luźne te bandy poczęły się gromadzić i zakładać osady, wskutek czego ustawały rozboje, a zaczęło się życie normalne. Tak też powstało miasto Abeokuta, którego widok podamy w jednym z następnych numerów „Roli".

Dzicy mieszkańcy Wybrzeży Niewolniczych zorganizowali się w coś podobnego do państwa: mają swego króla i swych wodzów.

Najstraszniejsze u tych dzikusów są tak zwane „Wielkie obrządki religijne", urządzane około połowy sierpnia lub września. Rozpoczyna je huk dział królewskich, trwający całą noc. Dla oznajmienia przodkom królewskim programu zaczynających się świąt, wysyłają jednego z niewolników, jako posła, na tamten świat. Każdy rok rozpoczyna się innym rodzajem mąk i wyszukanego okrucieństwa. Pomysłów mają wiele, a co jeden, to okrutniejszy.

Oto jeden wypadek takiej „wysyłki" widzimy na naszym pierwszym obrazku. Wybrano tu giętkie i wysokie drzewo, któremu poobcinano gałęzie. Drzewo to przygięto do ziemi, i w końce jego gałęzi wsadzono głowę skazańca. Powrozami owinięto owe gałęzie na wyskości szyi nieszczęśnika tak, aby głowa jego nie mogła się wydostać z tej śmiertelnej klatki. Kiedy już wszystko było gotowe, zwolniono sznury, przytrzymujące owo drzewo przy ziemi i puszczono je wolno. Drzewo zwolnione z więzów poczęło się huśtać w tę i ową stronę, a wraz z niem bujał ów biedny skazaniec, póki nie wyzionął ducha. Można sobie wyobrazić straszną mękę niewinnego człowieka.



Ofiara dla bożka Ogun.

W czasie „Wielkich obrządków religijnych" — składają też wiele ofiar z ludzi bożkowi Ogun. Oto jedną z nich opisuje pewien misjonarz, który był przypadkowo obecny przy tej strasznej ceremonji: „Na ofiarę bożkowi Ogun zabito pewnego młodego i silnego murzyna. Zabitego ciągniono na postronku za nogi, kapłanki i kapłani poprzedzali ofiarę, śpiewając pieśni ochrypłym głosem; ciemność panująca w lesie dodawała grozy temu wstrętnemu widokowi. Ponieważ orszak udawał się w kierunku naszej drogi, zobaczyliśmy po raz drugi tę samą ofiarę, lecz już powieszoną na drzewie bożka Ogun. Głowa oddzielona od tułowiu została nad nim przybita, wnętrzności zaś ofiarowano bóstwu Elegba. Przeszło w rok potem odnaleźliśmy jeszcze ślady tego strasznego morderstwa, do którego spełnienia mogły jedynie szatańskie podszepty skłonić tych biednych czarnych. Początek tych nieludzkich ofiar wytłómaczyli nam biorący w nich czynny udział w następujący sposób: Książę, któregośmy dobrze znali, popadł w ciężką chorobę. Kapłanów proszono o radę, a ci oznajmili, że bożek Ogun jest głodny i jeżeli książę chce otrzymać utracone zdrowie, trzeba będzie bożka nasycić. Na ofiarę przeznaczono młodego niewolnika, zabito go natychmiast, lecz książę zdrowia nie odzyskał, co jednak zupełnie nie zasmuciło jego poddanych. Tu trzeba jeszcze dodać, że ów zabity niewolnik był wielkim zwolennikiem owych obrzędów na cześć bożka Ogun, odprawianych w tamtejszych lasach. Sprawdziło się na nieszczęśliwym biedaku nasze przysłowie: „Kto czem wojuje, od tego ginie".

Straszną tę scenę morderstwa owego niewolnika widzimy na naszym drugim obrazku.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Zaklęty dwór.

Powieść z przeszłego stulecia podług Walerego Łozińskiego.

Klucznik wjechał w szeroką, gęstymi rzędy dzikich kasztanów ocienioną ulicę, a nagle zakręcił na wąski wygon uboczny.

— Gdzieżto zawracacie? — zagadnął nieznajomy.

— Podwiozę pana do Buczał.

— A taż ulica kasztanowa?

— Prowadzi do dworu.

Nieznajomemu strzeliła jakaś myśl nagła.

— Hej, stójcie! — zawołał żywo — wieźcie mnie raczej do dworu, oglądnę to zaklęte miejsce, przenocuję u was, a jutro ze świtem pójdę sobie piechotą do Oparek.

— Pójdź sobie pan, gdzie cię licho poniesie! — wybuchnął obcesowo zniecierpliwiony do najwyższego klucznik — tylko odczep się odemnie!



O krzyż stał oparty jakiś człowiek.

— Ho, ho, bratku! — zawołał nieznajomy z zuchwałą miną — zaczynacie się gniewać jak widzę!

Kost Bulij zmierzył swego towarzysza na pół groźnem, na pół wzgardliwem spojrzeniem, wzruszył ramionami i nic nie odpowiedział.

Wtem przypadkowo rzucił na bok okiem i w jednej chwili jakaś szczególniejsza zaszła w nim zmiana. Nieznajomy mimowolnie spojrzał w tę stronę, zapominając z nagłego zdziwienia o swej własnej urazie.

O kilka kroków na przodzie, tuż przy samym gościńcu wznosił się na małym kopcu stary, pochylony na pół krzyż drewniany, a o niego stał plecyma oparty jakiś człowiek w chłopskim stroju.

Był to nie pierwszej już młodości człowiek, a twarz jego dziwnie nieprzyjemny i odrażający nosiła wyraz.

— Kto jest ten człowiek? — zaptał mimowolnie nasz nieznajomy.

Kost Bulij nic nie odpowiedział, tylko raźniej zaciął konie, jakby co najrychlej chciał ominąć figurę.

Człowiek pod krzyżem zaśmiał się dziko, a śmiech ten miał wielkie podobieństwo do przytłumionego wycia wilka.

Klucznik jakieś okropne wybąknął przekleństwo i znowu popędził konie.

Wóz już mijał figurę, kiedy nagle jakby syk gadziny odezwał się głos obdartusa:

— Powoli, powoli Kostiu Buliju, abyście karku nie skręcili przed czasem. A nie zapominajcie o Jurku Ołańczuku!

III.

Ś. p. mandatarjusz galicyjski.

Mieszkanie mandatarjusza (pełnomocnika), stało tuż przy drodze w niewielkiej odległości od zabudowań folwarcznych. Pomiędzy wszystkiemi osobliwościami czysto galicyjskiemi, mandatarjusz był niezaprzeczenie jedną z najciekawszych.

Na poły oficjalista prywatny, na poły urzędnik publiczny, tak niby ni pies, ni ryba, musiał całe życie chwiać się pomiędzy dwoma przeciwnemi siłami, kurczyć się między młotem a kowadłem.

Płatny i zawisły od dziedzica, podległy władzy obwodowej, a przełożony nad chłopem i żydem, upadał pod brzemieniem potrójnych obowiązków. Musiał po pierwsze dogadzać każdemu zachceniu dziedzica, powtóre mydlić ustawicznie oczy władzy, a po trzecie skubać co się dało chłopa i żyda, a najczęściej wszystkie te trzy obowiązki spływały się naraz. Musiał również wszelkiemi siłami utrzymywać się na chwiejnym lądzie swego nieprawidłowego stanowiska, przebijać się przez powódź najróżnorodniejszych przeciwności, a nadto opierać się jeszcze ogniowi pańskich gniewów, chłopskich skarg i okręgowych komisyj. Zawisły bezwzględnie od humorów pańskich, zawsze niepewny jutra, dziś tu, jutro tam, wnet w takim, wnet w owakim kłopocie, wnet w tej, wnet w owej komisji, podobny do zręcznego kuglarza.

— Brać, co się daje — było zasadą mandatarjusza. Chodziło tylko, aby umieć drzeć łyko, aby nie

Pan Bonifacy Gągolewski był pod tym względem mistrzem nad mistrzami. Nie darmo uchodził za naj-

tęższego mandatarjusza w całym obwodzie, a od dwudziestu lat potrafił się utrzymać na jednem miejscu.

— Pan sędzia Żwirowski i z kamienia pieniędzy wyciśnie, jak zechce. A co się djabłu w gorączce nie przyśni, to on na jawie wymyśli — mawiali chłopi z jego okręgu.

I w rzeczy samej nikt nie potrafiłby lepiej wyzyskać tej szczypty władzy, jaka do jego przywiązała się godności.

Pan Bonifacy brał, ale zawsze zrobił, o co chodziło. Przy takim jednak trybie urzędowania nie mogło się obyć bez częstych groźnych chmur na horyzoncie; nieraz pan mandatarjusz zabrnął w kłopoty po uszy, a kilka naraz śledztw i komisyj zawisło mu nad karkiem. Pan Bonifacy wywinął się zawsze jednak bez szwanku, a do tego jeszcze z zyskiem materjalnym w dodatku.

Niech tylko jakakolwiek zagroziła mu komisja, pan mandatarjusz zapowiadał zaraz szesnastu wójtom swego okręgu:

— Za dni kilka zjedzie komisarz w sprawach gromadzkich. Oczywiście zagości wprost do mnie, a mnie ptaki z nieba nie znoszą, za jakie licho mam go żywić. Potrzeba mi kilka kapłonów, wina, cukru, rumu, kawy, herbaty... rozumiecie!

Wójtowie pokłonili się aż do ziemi, nazajutrz zbierali składki od kołka do kołka po wsi, a za dwa, trzy dni przybywał do domnijum z każdej wsi posłaniec gromadzki i pokornie składał w ręce pani sędzinej pół tuzina kapłonów, flaszkę rumu, oko cukru i kawy, funt herbaty i kilka butelek wina.

Nie trudno było przy takich źródłach dochodu przyjąć po hrabiowsku zapowiedzianego komisarza, a nadto jednać sobie mnogiemi prezentami wszystkich urzędników cyrkularnych.

Dzięki swej szczodrobliwości pan Gągolewski wiedział zawsze o każdem grożącem mu niebezpieczeństwie, to też nigdy nie dał się zaskoczyć, a drwił w żywe oczy i z najgroźniejszego przeciwnika.

Nie było choćby i najsurowszych zasad urzędnika, któremuby pan mandatarjusz w jakiś dowcipny sposób nie umiał wetknąć kubana. Do jednego z rozmysłem przegrał w karty, drugiemu za bezcen odsprzedał jakąś cenną rzecz, słowem każdego ujął w inny sposób i zapewnił sobie jego poparcie.

Niezachwiany też nigdy na swem stanowisku jednakim zawsze urzędował trybem.

Drugą pensję opłacali mu sami żydowscy arendarze. Były na Boże Narodzenie: wino, jaja, mięso, cukier i korzenie na Wielkanoc szły swoją drogą, a pieniężne interesa osobno.

A nie chciał się kto rozumieć na rzeczy dobrowolnie, to mandatarjusz znalazł już środek, aby mu przypomnieć swoją moc i swoje znaczenie.

Po trudach i znojach całodniowego urzędowania, pan sędzia rozrywał się wieczorem.

Zabierając pierwszą z nim znajomość, zastajemy go przy codziennej partji wista w tak zwanym bawialnym pokoju jego mieszkania.

Przyznać należy, że niemałej zadał sobie pracy i niezwyczajnej złożył dowody cierpliwości, nim dla własnej rozrywki i własnego ćwiczenia wyuczył ulubionego wiseczka swego najbliższego sąsiada, pana Onufrego Girgilewicza, ekonoma buczalskiego klucza, który co wieczór po skończonych zatrudnieniach gospodarskich zagoszczał do pana sędziego.

Pan Onufry Girgilewicz to jeszcze ekonom pańszczyźnianego kroju. Podobnie jak pan Gągolewski trzymał się i pan Girgilewicz już od lat blisko trzydziestu jednego skarbu, a to dość powiedzieć, aby zaraz o całej jego osobistości wysokie powziąść wyobrażenie.

Trzecim w gronie graczem był młody, sztywnie trzymający się mężczyzna z ogromnemi bakenbardami, na które snać niezmiernie wiele ważył, bo co chwila je muskał, przygładzał, poprawiał, podciągał, przyczem zawsze z ukosa zerkał do zwierciadła po przeciwnej stronie ściany. Ubiór na nim acz widocznie przestarzały, silił się na gwałt uchodzić za elegancki.

W samej rzeczy pan Gustaw Chochelka, tak zwany aktuarjusz dominikalny, był strasznie próżny i zarozumiały.

Z tem wszystkiem pan mandatarjusz z niewielkiem jakoś był dla niego poważaniem i tylko w wypadkach nadzwyczajnych, w razie choroby, wyjazdu lub chwilowego przeszkodzenia księdza proboszcza, przypuszczał go do jednego ze sobą stolika.

Podczas gdy tedy nasi znajomi zajęci byli tą szlachetną grą, nagle wóz turkotem zatoczył się przed ganek.

— Pewnie pan komisarz Mrkwiczka, którego się od wczoraj spodziewam — wykrzyknął pan mandatarjusz i w pospiechu pomieszał swe karty.

Lecz nim jeszcze mógł wybiec z pokoju, drzwi rozwarły się z niezwykłym zamachem, a zamiast spodziewanego komisarza Mrkwiczki wszedł nasz nieznajomy wędrowiec z ryczychowskiej karczmy.

Pan sędzia przystanął na miejscu z niezadowoleniem zawiedzionego oczekiwania, pan Girgilewicz usiadł napowrót i otarł pot z czoła, a pan aktuarjusz wzruszył ramionami, zmierzywszy jednym rzutem oka niepoczesną garderobę nowoprzybyłego.

Nieznajomy dopiero w progu zdjął czapkę z głowy i wszedł do pokoju niezmieszany, z tym samym zuchwałym, wyzywającym wyrazem twarzy, z jakim w karczmie przysłuchiwał się opowiadaniom Organisty.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYŚKA Z KAMIONKI.

Żądza rybałta.

— Dlaczego? Otóż wiedz, a powiem ci to tylko dlatego, że cię miłuję, jak nikogo na świecie. Medalik twój daje ci moc jakąś, której ja pojąć nie mogę. Bo pomyśl sam: na dworze moim są tysiące sług, którzy słuchają każdego mojego skinienia, są setki dworzan, którzy myśl moją odgadują; jestem tu potężna, jak nikt na świecie! Aż dopiero ty stajesz się silniejszy ponad moc moją. A siły tej dodaje ci ta marna blaszka. Dla miłości więc mojej odrzuć ją od siebie.

— Królowo duszy mojej i serca mojego — zawołał Marcin, składając dłonie przed Falą, jak do modlitwy — wszystko dla ciebie uczynię, ale tej jednej rzeczy nie mogę! I cóż ci na tem zależy, że tak uporczywie odemnie wymagasz tego?

— A więc wiedz, że na dworze moim jest taka ustawa, że kto chce mieć złoto, wino i kobiety, ten Boga swojego wyprzeć się musi. Wybieraj: albo medalik, albo ja a wraz ze mną szczęście, rozkosze i dostatki! Wybieraj, co wolisz!

Marcin zamyślił się, gdyż słowa pięknej kusicielki silnie podziałały na niego. Pokochał on ją, jak żadną dotychczas, chociaż w czasie tułaczego jego życia na

miłostkach mu nie zbywało. Zamyślił się, gdyż czuł, że utraty Fali nie mógłby przeżyć.

A tymczasem woda zaczęła się burzyć i pienić, a łódką kołysało, by wiatr liściem.

— Popatrz! I woda się buntuje nawet i gotowa nas pochłonąć!

Fala włożyła rękę w nurty wody i uspokoiła ją.

— Więc nie zdecydowałeś się jeszcze? — zapytała.

— Nie!

— To bądź zdrów! Widzę, że gardzisz mną i skarbami memi, dlatego rzucam się w głębinę!



Rybałt poskoczył ku niej. Przycisnął ją do swej piersi, które napełniła jakaś słodycz niewysłowiona.

— Puść mnie, bo mnie pali twój medalik! Puść mnie i dozwól zginąć, kiedy odmawiasz mi miłości swojej.

Ale rybałt nietylko nie puszczał, lecz coraz silniej przyciskał czarodziejkę do swej piersi. I gdyby nie był tak zakochany, byłby widział, iż nie był to szczery jej zamiar, ale podstęp jedynie.

— Puść mnie — powtarzała — lub odrzuć precz swoją blaszkę!

I dalej niby się chciała uwolnić z jego objęć, ale gdy ten nie puszczał, zwiesiła głowę na jego ramieniu i łzy rzęsiste z ócz jej spłynęły. I nic dziwnego, że rybałt zawahał się wkońcu. Wszak wiadomo, że nie zna żaden mężczyzna straszniejszej dla siebie broni, jak łzy kobiece. Nie można się też zbyt dziwić i Marcinowi, że kiedy spostrzegł łzy w oczach swej umiłowanej czarodziejki, jednym chwytem zerwał medalik z piersi i rzucił go w odmęty jeziora.

Ale w tejże samej chwili z przed oczu jego znikła i owa przepiękna dziewczyna i przeźroczyste tonie jeziora i wszystkie złudy, jakie go otaczały, a wokół niego powstał szum i huk, ciemność zaś nieprzeniknioną otoczyła go ze wszystkich stron. Był jakby w jakimś dziwnym, ciemnym lochu.

Leżał tak kilka minut, wciągając w swe nozdrza szkodliwe powietrze owej nory.

Naraz stanęło przed nim cztery postacie, okręcone w długie, czarne płaszcze.

— Kto to? — zapytał.

— Człowieku! a skąd się tu wziąłeś? Mów!

Marcin chwilę milczał, jakby sobie przypominając niedawno minione chwile, a potem powiedział, jak przyszedł na poszukiwanie złota, jak spotkał przecudną dziewicę i jak mu to wszystko nagle z przed oczu znikło.

— Ciebie pochłonęły duchy ciemności — odpowiedział jeden z przybyłych. — Nie wyjdziesz już stąd żywy i będziesz pokutował tak, jak my pokutujemy. Płaczem i cierpieniem będziesz zmywał swoje winy.

— Wstań i chodź z nami — rzekł drugi. — Będziesz nam świadkiem na sądzie, który się nad nami za chwilę odbędzie.

Rybałt zwlókł się z ziemi i poszedł za czterema postaciami.

Szli w coraz ciaśniejsze lochy i jaskinie, w których pełno było robactwa i gadów. Tu otoczyły ich duchy czarne i zaprowadziły do wielkiej sali, w której znajdowało się dwunastu sędziów. Trzymali oni przed sobą wielkie księgi i coś z nich czytali.

Posługacz sądowy zameldował sędziom, że niespodziewanie w podziemiach zjawił się jakiś żyjący człowiek.

Sędziowie zdziwili się i kazali przyprowadzić Marcina przed swe oblicze.

— Chodź przeklęty człowieku! — zawołał posługacz i jął ciągnąć rybałta, który stał przy drzwiach drżący, do środka sali.

— Do kotła z nim — krzyknął jeden z sędziów.— Niech w gorącej smole oczyści się z pozostałości tamtego świata.

Marcin opierał się i bił rękami na wszystkie strony, ale to nic nie pomagało. Siła ciemności zwyciężyła i rybałt plusnął w gorącą smołę. A kiedy go wypuszczono z niej, biedaczysko miał ręce i twarz bardzo spalone, a pragnienie dokuczało mu ogromnie. Jęczał więc z bólu, ale sędziowie nie zważali na to.

— Nim na ciebie zapadnie wyrok — rzekł jeden z sędziów — będziesz świadczył w sprawie czterech tutaj z tobą przybyłych towarzyszy. Taki już u nas zwyczaj, że wszystko musi odbywać się formalnie.

Inny sędzia przerzucił kilka kart swej księgi, podniósł się z siedzenia i rzekł:

— Oto tu stoi przed wami szlachcic, a życie jego opisane mam przez ducha ciemności Malusa.

Jedna z przybyłych z rybałtem postaci drgnęła i przybliżyła się do stołu sędziowskiego, a sędzia ciągnął dalej:

— Winy jego ogromne! Był on za życia swego wrogiem Ojczyzny, sprzedawczykiem, hulaką i uwodzicielem. Zasłużył, aby go wtrącono w ciemności do końca świata.

A gdy to mówił sędzia, szala na wadze, gdzie znajdowały się przewiny oskarżonego, spadała szybko na dół. Marcin popatrzył na drugą szalę i zawołał:

— A czemu to nie powiadacie tego, że szlachcic ten, jakkolwiek prowadził złe życie, ale i dobrego wiele uczynił. On to wybudował kościół, w którym odprawia się codziennie Msza święta na chwałę Bożą, on to ma syna, który jest obecnie Jezuitą i setki złych ludzi sprowadza na drogę cnoty? Czemu tylko przewinienia jego mówicie, a cnoty zamilczacie?

Gdy to mówił Marcin, szala z złymi uczynkami poszła natychmiast w górę, a ta, na której były dobre, opadła ku dołowi.

Sędziowie popatrzyli po sobie, a potem wydali jednobrzmiący wyrok:

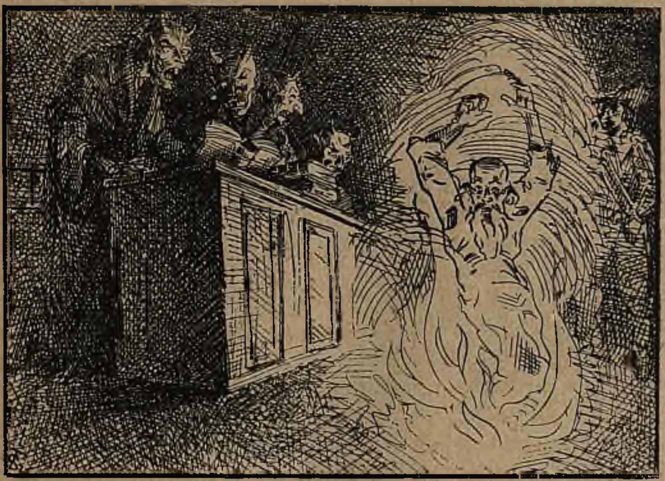
— Wybawiony!

W tej chwili otwarły się w przeciwległej ścianie drzwi, weszła nimi jasna postać i wyprowadziła uszczęśliwionego szlachcica.

Następny sędzia przerzucił kilka kart w swej księdze i rzekł:

— A oto tu drugi oskarżony: skąpy bogacz! Nie jesteś nawet godzien, aby duch ciemności miał do ciebie przemawiać. Za twoje paskarstwa i lichwiarstwa za wyrządzoną krzywdę wdowom i sierotom, za niedanie spragnionemu kubka wody, a głodnemu kawałka chleba, będziesz na wieki potępiony!

I jeszcze nie skończył mówić sędzia, gdy pod stopami skąpca rozwarła się ziemia, a on z jękiem runął w ciemną przepaść.



Wystraszony rybałt trząsł się cały na ten widok i przysięgnął sobie w duchu, że jeżeli tylko stąd się wydostanie, to nie zapragnie ani złota, ani innych dostatków, a o suchym chlebie i wodzie będzie pędził życie do ostatka swoich dni.

A tymczasem trzeci sędzia przewracał karty swej wadzono. Lista grzechów twych niewielka. Jakieś Była to postać oryginalna. Twarz wychudła, ręce kościste, a czupryna rozwichrzona. Oskarżony nie zwracał uwagi na sąd, ale błądził gdzieś myślami, jakby go to nic nie obchodziło, co się tu dzieje.

— Dziwię się — rzekł sędzia — że cię tu.przyprowadzono. Lista grzechów twych niewieelka. Jakieś miłostki, jakieś romanse, jakieś bałamucenia cudzych żon. Rzeczy to tak powszednie, że szkoda o nich mówić. No, ale przestępstwo jest przestępstwem i za nie odpokutować trzeba.

Poeta zdawał się nie słyszeć tego. Ozwał się jednak Marcin:

— Panowie sędziowie! To człowiek niezwykły! — On cierpiał i kochał za wszystkich, a za swe pieśni nagryzł się na ziemi biedy i nędzy. On tworzył piękno, które do końca świata będzie istniało. On wlewał w dusze cierpiące radość i wesele, a jeżeli serca jego zapałało ku jakiejś innej istocie, to niósł on jej więcej szczęścia, aniżeli strapień zadawał.

Waga skoczyła w górę, a sędziowie zawołali:

— Wybawiony!

I znów się otwarły drzwi, a jasność wielka owinęła go w swoje objęcia, śliczne zaś głosy zaśpiewały na jego cześć pieśń radosną.

(Dokończenie nastąpi).

Poradnik gospodarczy.

Inspekta.

Kto chce mieć wczas rozsady roślin ogrodowych, musi chodować je w inspektach. Inspekta są to grzędy, ciepłem fermentującego gnoju ogrzane, zasłonione od zimnego powietrza skrzynią, oknami i matami. Do ich założenia wybiera się miejsce ustronne, od zimnych północnych i wschodnich wiatrów zasłonione murem, ścianą lub matami słomianemi na 6 stóp wysokiemi, do żerdzi przymocowanemi, i tak położone, żeby je cały dzień słońce oświecało. Grunt suchy dłużej ciepło trzyma.

Celem założenia inspektów kopie się dół z bokami czyli burtami pochyłemi na dwie stopy głęboki: w gruncie suchym głębszy, w mokrym płytszy. Dla zabezpieczenia od kretów należy wyłożyć go na dnie i ocembrować deskami. W taki dół wstawia się skrzynia z desek dwucalowych, szerokich na 5 stóp, dowolnie długich, a na 10 cali głębokich, przykrytych oknami oszklonemi.

Gnój zawczasu przygotwany, suchy, świeży, na kupie przegniły, układa się dla inspektów wczesnych z końcem stycznia lub z początkiem lutego zakładanych, na 3 stopy grubo na dnie, na późniejsze, zakładane w marcu, o połowę cieniej, połowa tego gnoju będzie nad ziemią. Warstwy gnoju dla jednostajnego ciepła przekłada się warstwami suchych liści, najlepiej dębowych, lub garbówką nie mokrą, ani też nie suchą i zwietrzałą, ale lekko na wolnem powietrzu przesuszoną. Gdy gnój za suchy, skropić go wodą gorącą; gdy za mokry, nie zagrzeje się, trzeba go trochę przesuszyć.

Gdy tak ułożony gnój poleży 3 do 4 dni i zagrzeje się, udeptać, urównać, ustawić skrzynie pochyło tak, aby tylna ściana od północy wyżej o 8 do 10 cali była podniesiona. Przyciska się dobrze skrzynie i na wierzch grzędy przysypuje się 3 do 4 cali grubo przepalonego gnoju z zeszłorocznych inspektów. Poczem nakrywa się inspekt na kilka dni oknami i matami, aby się wygrzał, i od czasu do czasu na krótko uchyla się trochę okna dla wypuszczenia pary. Potem nareszcie sypie się warstwę od 8 do 10 cali grubą ziemi pulchnej, sypkiej, miernie żyznej, zebranej z pod darniny lub z ogrodu i po domieszaniu trochu przegniłego gnoju bydlęcego, inspekt gotowy. Głębokość miejsca pod oknami wynosi zwykle 10 cali.

Gdy po obcinaniu i pierwszem polaniu inspekta zbyt się rozgrzewają, przebija się w nich w kilku miejscach dziury kołkiem drewnianym, a po należytem oziębieniu, otwory te zaciska się z powrotem.

Gdy inspekt przed czasem ostygnie, ogrzewa się obłożeniem z boków obłogami z gnoju i garbówki, albo przesadza rośliny do innego inspektu. Powietrze w inspektach odświeża się podnoszeniem okien w dnie pogodne i opieraniem ich na karbach. Podczas mrozów okrywa się okna matami.

Można też urządzić sobie tak zwane inspekta zimne. Te nie potrzebują na spód gnoju, tylko stawia się skrzynie na dobrej, pulchnej, przerobionej ziemi i skrzynie te z boków okłada się gnojem, aby zimne powietrze nie wciskało się pod okna.

Ciepłota inspektów zależy w dużej mierze od gnoju, który dajemy na spód inspektu. I tak: gnój owczy wydaje ciepła 60 do 77 stopni przez 3 do 4 miesięcy; gnój koński lub garbówka 36 do 40 stopni przez 5 miesięcy; gnój pomieszany napół z suchym liściem 40 do 50 stopni przez 9 miesięcy; suchy liść z trzecią częścią gnoju 30 do 40 stopni przez 9 do 11 miesięcy; sam liść czasami przewracany 35 do 40 stopni przez cały rok.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

KRONIKA.

Co wróży lekka zima? Tegoroczna lekka zima skłania rozmaitych badaczy przyrody do wróżb, co ona nam przyniesie. Ze starych zapisków stwierdzić można, że łagodna zima niezbyt dobrze wróży tak dla zdrowotności, jak i dla urodzajów danego roku. W zapiskach tych znajdujemy, że podobnie łagodna zima była w 1884 roku. W drugiej połowie stycznia nie było jeszcze mrozu, a śnieg padał zaledwie kilka razy, ale nie utrzymał się długo, lecz tajał zaraz. Po tak lekkiej zimie szerzyły się choroby epidemiczne, a zbiory były bardzo liche, gdyż ziemi brakowało należytej wilgoci. Jak wynika dalej z starych zapisków, latami bez zimy były: rok 1289, 1607, 1609 1613, 1617, 1650 i 1692. W latach tych nie było zupełnie ani śniegu, ani mrozu, a lasy już przy końcu stycznia przybrały szatę zieleni, ptaki miały młode z początkiem lutego. W roku 1421 drzewa zakwitły w marcu, a czereśnie dojrzały w kwietniu, zaś winogrona w maju. W styczniu 1538 roku znajdowało się w ogrodach rozkwitłe kwiecie. Podobnie lekkie zimy były w roku 1781, 1808, 1822 i 1866, a wreszcie wspomniana wyżej zima w 1884 r.

Zwiastuny wiosny. Z Wilna donoszą, że już w połowie stycznia przeleciało tam stado żurawi, ciągnących z południa ku północy, w ilości kilkudziesięciu sztuk. Ponieważ zwierzęta i ptaki najlepiej przeczuwają, co ma być w najbliższej przyszłości, więc świadczyłoby to, że choć do wiosny kalendarzowej jeszcze daleko, to przecież w rzeczywistości zbliża się szybkim krokiem.

Student bandytą. Z Borszczowa donoszą nam, że onegdaj popołudniu dokonano tam niebywale zuchwałego napadu rabunkowego na urzędniczkę z powiatowej Kasy zaliczkowej Wandę Rybkównę w chwili, gdy niosła ona w teczce na pocztę pieniądze i papiery wartościowe, łącznej wartości około 20.000 zł. Przeprowadzone natychmiast dochodzenia wykazały, że rabunku tego dokonał Simon Hotting, b. uczeń gimnazjalny w Borszczowie, którego aresztowano. Zrabowaną gotówkę odebrano. Jako podejrzanych o współudział aresztowano ponadto Judę Epsteina i Izraela Herszkowicza, b. uczniów gimnazjum w Borszczowie. Wszyscy trzej przed kilku miesiącami zostali wydaleni z gimnazjum za zamachy na profesorów.

Pocieszna przygoda lekarza. W jednym ze szpitali warszawskich młody lekarz po całodziennej pracy postanowił odpocząć i chwilę się zdrzemnąć. Korzystając z tego, iż parę pokoi szpitalnych było niezajętych, udał się do jednego z nich, gdzie położył się na łóżko. W pośpiechu nie zauważył, że na sąsiedniem łóżku leżało ciało jakiegoś nieboszczyka, nakryte białem prześcieradłem. Nad ranem wkroczyło do owego pokoju dwóch karawaniarzy, którzy nie rozglądając się wiele, podeszli do uśpionego lekarza, okryli go prześcieradłem, złożyli na marach i wynieśli z pokoju. Gdy byli już na schodach, nosze, potrącone niebacznie, upadły na ziemię, a przerażeni karawaniarze usłyszeli głos rzekomego nieboszczyka:

— Co za głupie kawały was się trzymają!

W jednej chwili obaj karawaniarze, jak prądem rażeni, osunęli się zemdleni na ziemię. Obudzony w tak niezwykły sposób rzekomy nieboszczyk musiał się teraz zabrać do ratowania żywych.

Napad na mieszkanie ks. biskupa. Z Włocławka donoszą, że na mieszkanie tamtejszego księdza biskupa Owczarka dokonano napadu rabunkowego. O godzinie 9 wieczór, gdy jeszcze ks. biskupa nie było w mieszkaniu, ktoś zadzwonił. Na otwierającą drzwi służącą staruszkę rzucili się złoczyńcy, zatkali jej usta, pobili i związali, poczem poczęli plądrować mieszkanie. Zabrawszy wiele cennych rzeczy, złoczyńcy uciekli. Pomimo energicznych poszukiwań, nie udało się policji ująć rzezimieszków.

Trzęsienie ziemi na Śląsku. W ubiegłym tygodniu mieszkańcy wsi Sieniewice i Wełnowiec, na Śląsku, uczuli w nocy silny wstrząs, połączony z falowaniem ziemi. Wstrząs trwał kilka minut i wywołał panikę wśród mieszkańców, którzy zbudzeni ze snu wybiegali na ulice. Kilkaset szyb i wiele latarń uległo pęknięciu. Podobny wstrząs dał się uczuć również w Katowicach i okolicy. W wielu mieszkaniach, zwłaszcza w centrum miasta, pospadały ze ścian obrazy, a nawet pootwierały się zamknięte drzwi. Co było przyczyną owego wstrząsu ziemi, dotychczas nie wiadomo.

Służąca w roli generałowej. Policja śledcza aresztowała onegdaj w Bydgoszczy 30-letnią Annę Kuchenbecker, pochodzącą z pow. świeckiego, pod zarzutem oszustwa. Aresztowana, która przed niedawnym czasem przybyła do Bydgoszczy, przedstawiała się jako hrabina i właścicielka olbrzymich posiadłości w Rosji, spokrewniona z domami panującemi. Sidła swe nastawiła sprytna oszustka na rodziny niemieckie i wyłudzała poważne pożyczki, pokazując jako drogocenne klejnoty rodzinne jarmarczne świecidła, które miały być pamiątkami jej starego rodu. Podawała się również za hrabinę von Kratzer, właścicielkę majątków w Szwajcarji, jakoteż za żonę generała Znamęckiego. Kuchenbecker żyła sobie jak pączek w maśle, gdyż naiwnych, wierzących w jej arystokratyczne pochodzenie, nie brakowało. Policja zainteresowała się tak „wybitną" osobistością i zdemaskowała oszustkę, która wylegitymowała się jako zwyczajna służąca. Powędrowała oczywiście za kratki. Poszkodowanych jest szereg osób. Oszustka umiejętnie wykorzystała naiwność ludzką, przyjmując z należytą godnością zaofiarowane jej pożyczki i prezenty od różnych osób.

Ucieczka więźniów. Z więzienia we Wieluniu zbiegli onegdaj czterej niebezpieczni bandyci: Płaczek, Bednarski, Stefaniak i Ciemięga, odsiadujący karę za napady rabunkowe. Przepiłowali oni kratę w oknie celi, opuścili się na skręconych prześcieradłach na dziedziniec, z którego przedostali się poza mur więzienny przy pomocy stosu beczek ustawionych jedna na drugiej i schronili się do sąsiedniego lasu. Policja zaalarmowana przez straż więzienną, otoczyła las i przeszukuje go bardzo szczegółowo.

Piętnaście lat bez snu. W Budapeszcie żyje pewien urzędnik nazwiskiem Kern, który od lat 15 nie śpi zupełnie. Są to skutki wojny. Kern przed 15 laty w bitwie nad Sanem jako porucznik 19 pułku piechoty austrjackiej, został ranny w głowę. Przewieziony do szpitala wyzdrowiał, ale od tego czasu nie może spać zupełnie. Znajduje on się pod stałą opieką lekarską, ale żadne lekarstwa nie mogą sprowadzić snu. Pozatem Kern jest zupełnie zdrów.

Klejnoty w kominie. Onegdaj w Wiedniu dwóch kominiarzy, którzy w pewnem mieszkaniu czyścili nieczynny i rumowiskiem zawalony komin gazowy w łazience, znalazło ukryte w kominie pudełko z cygar, a w tem pudełku klejnoty dużej wartości. Natychmiast zawiadomili o tem policję i skarb znaleziony zdeponowano u adwokata. Jak się obecnie okazało, skarb ten należał do byłego lokatora owego mieszkania, b. generała austrjackiego. Przed dwunastu laty zginęły nagle z mieszkania owe klejnoty, które należały do niego i jego żony. Aresztowano ordynansa generała pod zarzutem kradzieży, ten jednak odmówił wszelkich wyja-

śnień. Kiedy w dwa lata później ordynans umarł, zabrał tajemnicę do grobu. Potem przyszedł przewrót polityczny i ów generał opuścił Austrję. Służy on obecnie w wojsku jugosłowiańskiem w randze pułkownika. Zawiadomiono go telegraficznie o znalezionym skarbie.

Śmierć zamiast ślubu. Gdy w pewnej tyrolskiej wiosce siadała młoda para narzeczonych na wóz, aby pojechać do ślubu, wyszedł z za drzewa młody mężczyzna i począł do niej strzelać z rewolweru. Strzały były tak celne, że oboje narzeczeni padli trupem na miejscu wobec przerażonych gości weselnych.



Jak zaraz stwierdzono, przyczyną zabójstwa było to, że piękna owa dziewczyna miała poprzednio wyjść za mąż za tego, który obecnie strzelał, jednak po dłuższem z nim obcowaniu odmówiła mu, gdy się trafił zamożniejszy. Lekkomyślna nie przypuszczała, że przypłaci swój postępek życiem.

Najgrubsze małżeństwo na świecie. W Belgradzie odbyły się ostatnio zaślubiny niezwykłej pary. Panna młoda ważyła 440 funtów — pan młody zaś „tylko" 240 funtów. Chodzi tu o małżeństwo pary cyrkowej, która od dawna już produkuje się w licznych teatrzykach. Będzie to doprawdy „najcięższe" małżeństwo na świecie.

Wyrzekają się ojców i matek. Do czego dochodzi już obłęd umysłowy wśród bolszewików, dowodzi najwymowniej praktykowane na Ukrainie sowieckiej masowe wyrzekanie się swych ojców i matek przez tamtejsze dzieci. Młodzi ludzie wyrzeczenia się te ogłoszają publicznie w tamtejszych gazetach. Oto jak brzmi jeden z takich komunikatów ogłoszony w kijowskiej gazecie „Proletarjacka prawda": „Proszę opublikować na łamach waszej gazety, że żywię się własną pracą i że zerwałam wszelkie stosunki z ojcem, Wasilym Słowaczewskim, tak, że nie mam nic z nim wspólnego ani pod względem materjalnym, ani ideowym. Tatjana Słowaczewska". A takich komunikatów w każdej gazecie znajduje się kilka. Świadczą one dobitnie o moralnej zgniliźnie obecnych władców Rosji sowieckiej, nie cofających się nawet przed podjudzaniem niedoświadczonych młodych ludzi przeciwko ich własnym ojcom.

Naprawa butów na kartki. Z „raju" bolszewickiego dochodzą coraz ładniejsze kwiatuszki. Oto jak donosi „Krasnaja Gazeta", sowiet miejski w Petersburgu wprowadził ograniczenia prawa mieszkańców miasta do naprawy obuwia w pracowniach miejskich. Poczynając od 15 stycznia b. r. prawo do naprawy obuwia służy tylko raz na miesiąc wyłącznie posiadaczom kartek na chleb. Ograniczenie to wprowadzono skutkiem wielkiego braku materjałów skórzanych. Aby zaradzić temu brakowi, rozpoczęto również wyrób obuwia ze skóry psów. Skóra z każdego złapanego psa na ulicy idzie na buty mieszkańców Petersburga.

Walka księdza z orłem. Z Nowary we Włoszech donoszą o dramatycznej walce, jaką stoczył tam pewien ksiądz z orłem. Ksiądz ów posiadał małe stado owiec, które pasły się wśród okolicznych skał. Pewnego dnia udał się on do stada i, wziąwszy jedno jagnię na ręce, szedł ku kolibie pastucha. Nagle zjawił się nad głową księdza duży orzeł, a uderzywszy na niego, starał mu się wyrwać z rąk jagnię. Przy pomocy laski udało się napadniętemu uszkodzić częściowo jedno ze skrzydeł orła. Mimo to zawzięty ptak atakował dalej, uderzając dziobem, szponami i skrzydłami. Walka przedłużała się i była nawet chwila, kiedy stary ksiądz począł tracić już siły, liczne bowiem ciosy nie szkodziły orłowi, który atakował coraz zacieklej. W pewnej chwili udało się napadniętemu zadać silniejszy cios w głowę orła, który padł na chwilę na ziemię. To zadecydowało o wyniku walki. Napadnięty zdążył nastąpić ptakowi na szyję nogą, poczem go dobił. Był to wspaniały okaz, którego rozpiętość skrzydeł wynosiła siedm stóp.

Niebezpieczna zabawka. Niemiła choć śmieszna przygoda spotkała pewnego studenta francuskiego. Oto w Vincennes, we Francji, student Andrzej Billat wybrał się w niedzielę z swą narzeczoną na przechadzkę za miasto. Na łące znaleźli przedmiot z błyszczącej stali. Były to kajdanki najnowszej konstrukcji. Oboje podziwiali interesujący przedmiot. Andrzej chciał pokazać dziewczynie, jak się należy z kajdankami obchodzić. Założył je sobie na ręce, ale pocisnął tak nieostrożnie, że kajdanki się zamknęły. Wszelkie usiłowania, aby je otworzyć, spełzły na niczem. Billat był skuty. W ponurym nastroju zawrócili narzeczeni do miasta. W drodze spotkali policjanta, który ich zatrzymał i zażądał wyjaśnienia. Ale nie przekonały go słowa Billata. Aresztował oboje i odprowadził do najbliższego posterunku policji. Tutaj dopiero rzecz się wyjaśniła i „złoczyńca" odzyskał wolność.

Tragedja w latarni morskiej. W latarni morskiej w La Vieille, jednej z największych we Francji, rozegrała się niedawno krwawa tragedja. Przez długi czas byli dwaj strażnicy tej latarni, Raul Morier i Franciszek Rimet serdecznymi przyjaciółmi. Lecz pewnego wieczora, wolnego od służby, poznał Morier pewną dziewczynę bretońską. Nazywała się ona Klara Martignon. Od pierwszego wejrzenia zakochał się w uroczej brunetce i zdawało mu się, że również i ona darzyła go sympatją. Powróciwszy na wieżę, opowiedział przyjacielowi o Klarze. Nakreślił jej obraz w tak płomiennych i entuzjastycznych barwach, że Rimet pewnego wolnego wieczora powziął zamiar zapoznania się z Klarą. Przeznaczenie chciało, że także i on zakochał się bez pamięci w Bretonce. Również i jemu zdawało się, że dziewczyna jest mu wzajemną... Następnej nocy wybuchł gwałtowny orkan, który szalał przez cały tydzień. Drugiej nocy nastąpiła rzecz straszliwa: Rimet nie potrafił zachować w tajemnicy swego szczęścia. Opowiedział swemu przyjacielowi, że kocha Klarę i pewny jest jej wzajemności. Morier nie odpowiedział nic, lecz w oczach jego zabłysnął ogień złowrogi... Najbliższej nocy spostrzegli mieszkańcy wybrzeża z przerażeniem, że latarnia morska tonie w mroku... Dopiero jednak, gdy morze nieco się uspokoiło, można było przekonać się o przyczynie. W dolnej ubikacji wieży zastano zwłoki Moriera, a w górnej leżał konający Rimet z głęboką raną w piersi... Przed śmiercią oświadczył jeszcze, że przyjaciel napadł nań. Doszło między nimi do zaciętej walki, a wreszcie udało mu się przeciwnika zastrzelić. Sam jednak przedtem otrzymał nożem cios śmiertelny... Następnie powlókł się, aby dać znak o tem tragicznem zajściu. Siły jednak odmówiły mu posłuszeństwa. Na szczęście zgaśnięcie latarni morskiej nie spowodowało żadnej katastrofy okrętowej.

Oswiały kot. Gazety angielskie podają ciekawą wiadomość, a mianowicie, że załoga angielskiego statku rybackiego „Gladys“ z Lovestoftu miała czarnego zupełnie kota, do którego bardzo była przywiązana. Podczas gwałtownych burz, które szalały ubiegłego tygodnia, „Gladys“ rozbiła się. Marynarze zdołali się ocalić i dopłynęli do Grimsby, a naturalnie nie zapomnieli o swoim ukochanym kocie. Jakież jednak było ich zdumienie, gdy spostrzegli, że czarny przedtem koczur stał się wskutek tej przygody zupełnie biały. To przerażenie pobieliło mu włosy, jak to się zdarza również i ludziom.

Dziecko o niezwykłych oczach. Dzieją się nieraz na świecie takie rzeczy, których naukowo wytłumaczyć sobie nie można. Do takich niezwykłych zjawisk należą oczy małego Benito Pazo, synka nauczyciela wiejskiego w Hiszpanji. Dziecko to, liczące 4 lata wykazało iście cudowną zdolność przenikania wzrokiem przedmiotów nieprzeźroczystych. Chłopiec z łatwością odróżnia przedmioty zamknięte w żelaznej kasetce, przenika metal, materjały wełniane, grubą tekturę, jednakże niektóre inne materje, np. drzewo pozostaje dlań nieprzezroczyste. Ojciec odwiózł małego chłopca do znakomitego okulisty, który bada niezwykłe własności dziecka, ale, jak dotychczas, bez żadnego rezultatu.

Uratowany przez dzwony. Głód i zima sprawiają, że wilki opuszczają swe siedliska i zbliżają się do siedzib ludzkich. Całe stada wilków opuściły górzyste i lesiste części Hiszpanji w poszukiwaniu żeru, siejąc trwogę wśród mieszkańców. Przed kilku dniami w pobliżu Zamora pewien wieśniak udał się na swe pole i zetknął się niespodziewanie ze stadem wilków. O pomocy nie było mowy. Przerażony zaczął uciekać, ile mu sił starczyło, wilki zbliżały się jednak coraz bardziej. Biedny wieśniak widział już swą straszną śmierć. Naraz z pobliskiego kościoła odezwały się dzwony, wzywające wiernych na wieczorne nabożeństwo. Wilki, zaskoczone nieznanemi sobie dotąd dźwiękami, zatrzymały się i przestraszone uciekły; dzwony kościelne uratowały wieśniakowi życie.

Tragedja w kuźni. Gazety niemieckie donoszą o wykryciu zbrodni, która przez kilka lat ukrywała się przed okiem karzącej sprawiedliwości, a wyszła na jaw wskutek wyrzutów sumienia winowajczyni krwawego czynu. Oto do miasteczka Wienefeld przybył przed kilku laty młody kowal, który znalazł zajęcie w tamtejszej kuźni, leżącej na dalszych krańcach tej miejscowości. Niebawem między przybyszem, 28 letnim Janem Trübnerem, a 25-letnią żoną właściciela kuźni, Antoniną Tiebke, nawiązała się nić sympatji, która wkrótce przemieniła się w ogień gorącej namiętności. Antonina postanowiła wreszcie na własną rękę pozbyć się niewygodnego męża, znacznie od niej starszego... Pewnej nocy zbudziły Jana jakieś podejrzane odgłosy. Ubrał się i podążył do szopy, skąd dobiegało wąskie światło latarni... Ujrzał tam widok, który zmroził mu krew w żyłach. Antonina klęczała nad zwłokami męża i usiłowała je porąbać... Ujrzawszy ukochanego wybuchła płaczem i wyjaśniła mu wszystko. Podczas snu zamordowała męża, a następnie chciała jego zwłoki porąbać i gdzieś ukryć. Oboje postanowili teraz, że najlepiej będzie upozorować napad bandycki. Uczynili to dzięki zimnej krwi Jana tak zręcznie, że udało się im wprowadzić w błąd władze bezpieczeństwa. Nieszczęsny kowal spoczął na cmentarzu, a policja po pewnym czasie zrezygnowała z dalszych poszukiwań. W rok później Antonina została żoną Trübnera, co zresztą nie wywołało w okolicy zdumienia... Trudno bowiem samotnej kobiecie dać sobie radę z gospodarstwem. Zbrodnia utonęła w mroku tajemnicy. Lecz sumienie nie dawało spokoju winowajczyni... Wreszcie, nie mogąc dłużej znieść tych straszliwych męczarni duchowych, udała się na najbliższy posterunek policji i przyznała się do wszystkiego.

Dwadzieścia dwa razy żonaty. Prawdziwym bohaterem można nazwać Belgijczyka Jana Pierrad, który był aż 22 razy żonaty i życie się mu nie sprzykrzyło. Świat byłby o nim nie wiedział, gdyby mu był nie wytoczył procesu jeden z 14 synów o wypłacenie alimentacji. W czasie procesu wyszło na jaw kilka ciekawych szczegółów, które owego małżonka rozsławiły po całej kuli ziemskiej. Pierrad nie dopuścił się ani razu bigamji, ani razu nie pozbył się żadnej z swych żon w sposób gwałtowny, ale jakoś tak się składało, że same dobrowolnie opuszczały ten świat, a jeżeli już nie sam świat, to przynajmniej szczęśliwego małżonka. Oto na przykład pewnego razu Pierrad, ożeniwszy się, dopiero po ślubie spostrzegł, że się pomylił co do poślubionej osoby i ożenił się z jej siostrą. Oczywiście na taką zamianę się nie zgodził, a że to było w Ameryce, więc łatwo uzyskał unieważnienie małżeństwa. Z jedną z jego licznych małżonek przytrafił mu się niezbyt przyjemny wypadek: zastał ją bowiem razu pewnego w objęciach kochanka. Tak doświadczony małżonek, jak Pierrad, wiedział, co w takim wypadku uczynić. Złapał kochanka za łeb i wyrzucił go z trzeciego piętra przez okno. Przyłapana na złym uczynku żona okazała na tyle taktu, że nie oburzała się na brutalne zachowanie się małżonka, lecz bez słowa wyrzutu wyskoczyła oknem za swym kochankiem, znajdując śmierć przy jego boku. Pierrad stanął przed sądem pod zarzutem zabójstwa, ale został uniewinniony. Pierrad szukał długo, aż wreszcie trafił na taką, jakiej mu było potrzeba. Przed kilkunastu laty ożenił się po raz 22 z pewną Rosjanką i żyje do dziś dnia z nią szczęśliwie i powiada, że po długich poszukiwaniach trafił dopiero na kobietę, nadającą się w całej pełni na małżonkę.

Papierosy w pocałunkach. Na jakie sposoby biorą się ludzie, aby oszukać władze, dowodzi następujący fakt. Oto w więzieniu w Atlancie, w Ameryce, więźniowie w jakiś niewytłomaczony sposób dochodzili do posiadania papierosów, choć palenie było najsurowiej wzbronione, a straż każdego odwiedzającego więzienie jak najskrupulatniej rewidowała. Aż wkońcu udało się odkryć rzecz całą. Oto krewni, odwiedzający więźniów, przynosili im papierosy, które ukrywali w miniaturowych pudełeczkach w ustach. W czasie pocałunku papierosy te podawali z ust do ust. Władze wobec tego zakazały całowania więźniów przez odwiedzających ich krewnych.

Pięć dni zgrozy na wyspie koralowej. Niedawno rozbił się na oceanie Spokojnym angielski okręt „Norwich City“. Wokół tonącego statku ukazały się stada rekinów, przeciwko którym majtkowie bronili się zapomocą wioseł i siekier. Pomimo rozpaczliwych wysiłków dwóch mechaników, kucharz, dwóch marynarzy angielskich i sześciu arabskich palaczy zostało zmytych z pokładu przez rozszalałe fale i pożartych przez potwory, czemu musieli się bezsilnie przypatrywać pozostali przy życiu rozbitkowie. Za cenę nadludzkich wysiłków udało się pozostałym przy życiu dostać na małą wyspę koralową, gdzie oczekiwały ich nowe okropności; cała nadbrzeżna część była literalnie pokryta olbrzymiemi krabami, których łapy sięgały 20 centymetrów długości. Wśród nich biegały potwornej wielkości szczury. Rozbitkowie corychlej urządzili barykady, zdolne zabezpieczyć ich od ataków strasznych sąsiadów, których liczbę określają na dziesiątki tysięcy. Dopiero wieczorem piątego dnia spostrzegł ich pewien okręt i zabrał na swój pokład.

RZECZY CIEKAWE.

18 miljonów starych panien w Europie.

Ciekawą statystykę podają gazety niemieckie. Okazuje się z niej, że w Europie jest około 18 miljonów kobiet, które nie mają najmniejszej nadziei, aby kiedykolwiek mogły wyjść zamąż. Liczba ta wyda się nie tak wielką, jeżeli przypomnimy sobie, że wojna światowa pożarła 10 miljonów ludzi, najlepszy materjał na mężów.

W 1900 roku w Niemczech było 15 miljonów 924.000 mężczyzn w wieku od 20 do 60 lat i 16 miljonów 431.000 kobiet. A więc wtedy już liczba kobiet była wyższa od liczby mężczyzn, niemniej miały wtedy kobiety jeszcze szanse, że nie będą przez całe życie samotne.

Dziś ta równowaga została w niebezpieczny sposób naruszona. W 1920 roku w Niemczech naliczono 17,820.000 mężczyzn w wieku, nadającym się do małżeństwa, a kobiet 20,204.000. Bolesne „saldo“ kobiece wynosi więc 2 i pół miljona.

We Francji liczba kobiet przewyższa liczbę mężczyzn o całe 2 miljony. To samo da się powiedzieć o Anglji.

We Włoszech, gdzie liczba ofiar wojny była mniejsza, kobiety przewyższają mężczyzn tylko o jeden miljon.

W Rosji było w roku 1914 o 700 tysięcy kobiet więcej, niż mężczyzn, a w chwili obecnej jest już więcej o całe 4 miljony.

Jest to bodaj najjaskrawszy fakt, czem są sowiety. Czerezwyczajka, widocznie nie próżnuje. Działa ona bardziej skutecznie od najkrwawszej wojny.

Mniej więcej we wszystkich innych państwach kontynentu europejskiego można zauważyć podobne różnice.

Trzeba nadmienić, że różnice powyższe nic nie mówią jeszcze o ostatecznej liczbie kobiet, skazanych na stan panieński. Jest ich w każdym kraju w rzeczywistości o wiele więcej, gdyż nie wszyscy mężczyźni uważają za swój obowiązek narodowy ożenić się i założyć ognisko domowe.

Wielka liczba mężczyzn nie żeni się nigdy i to w każdym kraju. W Niemczech obecnie około 6 miljonów kobiet nie wychodzi zamąż. Z roku na rok liczba ta powiększa się zastraszająco. Ponieważ w Niemczech trwa w tej chwili zacięta walka o ułatwienie ludziom, niezżytym ze sobą, rozwodów, cyfry powyższe posłużą za jeden z najlepszych dowodów dla wprowadzenia ułatwionego rozwodu. Zapominają tylko Niemcy o tem, że rozwód jest bronią obosieczną. Zbytnia łatwość rozwodów doprowadza narody do upadku moralnego, rujnuje rodzinę i demoralizuje młodzież.

Jak giną słonie.

Oddawna już zwracało uwagę przyrodników, że niesłychanie rzadko zdarza się znaleźć zwłoki słonia, któryby zginął naturalną śmiercią. Z tego powodu powstała legenda, w którą wierzyło również wielu uczonych, że istnieją cmentarze słoni, takie zaciszne i bezwzględnie niedostępne miejsca, do których te olbrzymy świata zwierzęcego udają się, gdy czują zbliżającą się śmierć. Przypuszczenie to potwierdził fakt, że wedle porównania statystyki słoni żyjących z cyfrą słoni, zabitych przez ludzi, nieskończenie większa liczba tych zwierząt ginie naturalną śmiercią.

Otóż tę wiarę w cmentarze słoni zachwiały najnowsze badania przyrodnicze. Wedle uczonych, którzy zbliska badali życie słoni, można przyjąć za pewnik, że stare, chore albo ranne słonie niemal wyłącznie kończą życie w wodzie.

Słoń bowiem ma wogóle ciągle wielkie pragnienie i wciąż odczuwa potrzebę picia, co potęguje się jeszcze w stanie chorobowym. Można więc przyjąć, że słonie przed śmiercią, pragnąc ugasić swoje pragnienie, albo wziąć jeszcze odświeżającą kąpiel, przy tej sposobności pogrążają się w wodzie, pokrywają się mułem i giną dla oczu ludzkich.

Wyznania w Czechach.

Według ogłoszonej ostatnio statystyki, Czechosłowacja liczy 5,211.463 katolików, 160.000 protestantów, 1755 prawosławnych, 1437 starokatolików, 43.398 żydów i 15.174 osoby nie należące do żadnej religji. Niemieccy katolicy Czechosłowacji obchodzili w ostatnim roku 600-letni jubileusz wspaniałej świątyni gotyckiej w Tachau, wzniesionej przez króla Jana Luksemburskiego dla rycerzy krzyżowych.

W związku z utworzeniem arcybiskupstwa w Sionohradzie brana jest ponownie pod uwagę możliwość założenia uniwersytetu katolickiego. Myśl ta omawiana była już oddawna, ale wojna światowa przeszkodziła jej urzeczywistnieniu.

Chleb i bakterje.

Czy chleb pieczony wolny jest od bakterji? Jeden z lekarzy tak odpowiada na to pytanie:

Temperatura chleba przy pieczeniu dochodzi od 94 do 104 stopni; w takiej cieplocie giną oczywiście wszystkie żyjące bakterje, jakie się znajdują w cieście, ale zarodniki bakteryj pozostają zdolne do rozwoju przy pewnych korzystnych warunkach.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Stanisław Ławik** w R.: Jeżeli już Pan musi koniecznie wyjechać na obczyznę, to zdaje nam się, że lepiej do Brazylji niż do Urugwaju, gdyż w Brazylji jest dużo Polaków, więc jakoś milej byłoby pomiędzy swoimi. Losy wychodźców naszych zależą od wielu okoliczności; jednym powodzi się nienajgorzej, inni borykają się z losem, jak i w Ojczyźnie. Dokładniejsze objaśnienia mogłoby dać Towarzystwo emigracyjne w Warszawie, Aleja Jerozolimska. Niech Pan tam napisze, a oni udzielą Panu dokładnych informacyj pod każdym względem. — **Władysław Bienias** w K.: Artykulik o Matce Boskiej Gromnicznej bardzo dobry, ale przyszedł kiedy był dany do druku już inny, który jest w numerze. Trudno więc dwa jednakowej treści równocześnie drukować. Schowamy go jednak, może w przyszłości się przyda. — **Józef Kowalik** w K.: „O oczach — taka sobie powiastka“ nadaje się do druku, kiedy jednak ją umieścimy, trudno narazie oznaczyć, gdyż najpierw musimy drukować prace, nadesłane na konkurs „Roli“. — **Stanisław Toporek** w M.: Opisywanie zbrodni wierszem nie prowadzi do żadnego celu, a owszem nawet poezje profanuje. Aby takie rzeczy drukować, musiałby wiersz posiadać jakieś nadzwyczajne zalety, czy to pod względem formy, czy treści. Tych zalet utwór Pański jednak nie posiada. — **Władysław Biedroń** w P.: W tece naszej mamy conajmniej z półtora tysiąca wierszy przeznaczonych do druku i wszystkie radzibyśmy drukować. Między nimi są i Pańskie. Cóż my jednak poradzimy na taki wprost chorobliwy brak miejsca w „Roli“. Pan K. był w owym czasie w Limanowej, jednak z powodu upalnego dnia wycieczki do Przyszowej zaniechał. — **Wojciech Byczek-Breowicz** w K.: Wstęp chętnie dorobię sam. Kiedy utwór będzie drukowany, z całą ścisłością dziś oznaczyć nie mogę. W każdym razie będę się starał, aby to nastąpiło jak najprędzej. — **Józef Frasik** w K.: Wierszyk p. t. „Wieś“ nadaje się do druku; kiedy jednak go zamieścimy, trudno nam zgóry oznaczyć. — **Józef Górecki** w K.: Myśl Pańska dobra, ale wykonanie jej pochłaniałoby zbyt wiele czasu, którego nam

i tak bardzo brakuje. — **Wanda z Bochni:** Maciuś za tak miłe życzenia serdecznie dziękuje i powiada, że jeżeli będzie miało go spotkać to nieszczęście, iż koniecznie się będzie musiał ożenić, to prawdopodobnie będzie szukał żony w Bochni, gdyż tam podobno panienki z całej Polski najładniejsze, a przytem dobrze słone. Nie będzie potrzebował kupować soli: pocałuje żonę i wystarczy. — **Tomasz Żak** w I.: Zagadka dobra — wydrukujemy. — **Władysław Janczarek** w W.: Wierszyk dobry, z powodu jednak braku miejsca nie możemy oznaczyć, kiedy będzie drukowany. — **Jan Żmuda w Chicago:** List Pański przeczytaliśmy, jak i poprzednie, z wielką przyjemnością. Świadczy on o zdrowem zapatrywaniu się na sprawy bieżące. Niejednemu się zdaje, że już lepiej, jak w Ameryce, być nigdzie nie może, a tymczasem, jak to Pan słusznie twierdzi, tak nie jest. Jest u nas wiele rzeczy lepszych, niż na obczyźnie, ale my ich niedoceniamy dlatego, że to nasze. Łączymy serdeczne pozdrowienia i prosimy o dalszą pamięć. — **Czytelniczki „Roli" w Krzeszowicach:** Niestety i na wesele Maciuś przyjechać nie może, choć takby rad, ach jak rad... przecież nic niema na świecie milszego nad cudze wesele. Cieszy on się jednak bardzo, że choć jedna z panienek zamąż wychodzi i powiada, że gdyby on tak był na stałe w Krzeszowicach, toby tam wkrótce nie było ani jednej panienki. Tak się mu wszystkie tamtejsze dziewuszki podobają, choć jeszcze żadnej z nich dotychczas nie widział. Ale powiada, że wszystkie muszą być dobre, kiedy tak o nim pamiętają. Może latem się wybierze, a wówczas odwdzięczy się za wszystko. — **Wł. Frącz** w O.: Nadesłany nam wierszyk bardzo dobry; zamieścimy go w jednym z najbliższych numerów. — **Wł. Mirek** w N.: Wiersz dość dobry, ale na ten temat mamy w literaturze polskiej arcydzieła. — **Mieczysław Stawarz** w P.: Nic dziwnego, że „Rola" nie dochodziła, gdyż w adresie podał Pan tylko pocztę Poznań, a nie napisał ulicy; poczta więc zwracała przesyłkę. Teraz zapewne już będzie dobrze. Z tego, cośmy dotychczas poznali, można wnioskować, że i większa rzecz Panu się uda; pisać tylko bez pośpiechu. — **Kazimierz Malski** w G.: Nadesłane wierszyki przeznaczamy do druku. — **Jan Zięć** w P.: Szarada byłaby dobra, gdyby nie zły podział słowa „Zagadki"; raz dzieli Pan: za-ga-dki, a drugi raz: za-gad-ki. — **Helena Latawcówna** w S.: Nadesłane nam wierszyki są zupełnie poprawnie napisane, ale wierszy mamy w tece tak wielką ilość, że nie możemy oznaczyć terminu ich druku. O ileby Pani przysłała coś prozą, a było równie dobrze napisane, jak wiersze, to znacznie prędzejby to ujrzało światło dzienne. A możeby ta powieść była odpowiednia dla „Roli"? — **Kukulak Franciszek** w Ch.: Na prenumeratę na I kwartał pozostaje 3 zł. — **Łopata Jan** w R.: Zaległości nie ma Pan żadnych, „Rolę" z czekiem pod wskazanym adresem posłaliśmy. Dziękujemy i polecamy się nadal. — **Antoni Markiewicz** w R.: Za przysługę w sprawie „Roli" dziękujemy — przesyłkę zwiększymy. Zagadki prosimy nadesłać. Cześć! — **Chromy Władysław** w B.: Nie wiemy czy w Liszkach taki doktór się znajduje. O ile Pan chciałby mieć adres jakiego krakowskiego doktora chorób uszu, to możemy podać. — **Józef Szwaja** w W. N.: Cieszy nas bardzo, że staraniem Pańskiem „Rola" zyskała nowy rynek zbytu. Gdy tylko się okaże większe zapotrzebowanie, prosimy napisać, a przesyłkę zwiększymy. Za dotychczasowe starania dziękujemy. Cześć! — **Helena Majewska** z K.: Pisze Pani, że Maćka nie chciałaby, jednak onby się tem nie zasmucił, bo ma dość takich, co na niego lecą, tembardziej, że Pani niema gruntu ani chałupy, a też na zamężną niema gustu. Powiedział: panna, a już w ostatecznym razie „ciepła gdowa". „Rolę" do Rzochowa pod wskazanym adresem posyłamy. Za życzenia serdecznie dziękujemy. — **Łopata Jan** w R.: Zaległe numera dla p. Gudalewicza wysłaliśmy. Prenumerata nadeszła.

Na fundusz wydawnictwa nadesłali P. P.:

Józef Szwaja z Woli Niedz. 1.20 zł. na płaskie dla Maćka, Mieczysław Przybyłowicz z Tymbarku 2 zł., Marja Wawrzykówna z Pastwisk 4.05 zł. dla Maćka, Aniela Wąsowiczowa z Nowego Sącza 5 zł. dla Maćka noworocznego, Antoni Szołdra dla Maćka 50 gr.

Zagadki do nagrody.

1. Rebus.



2. Szarady.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

I.

Trzecia pół pierwszej za podporę służy,
W pierwsze trzecie często cyganka wróży,
Wstecz pierwsza to nowu nazwa skoru- [piaka,
Pierwsza druga nazwa ryby, nie szczupaka.
Całość łańcuch górski, w piękny łuk wy- [gięty,
Za granicę Polski z jednej strony wzięty.

II.

Wstecz pierwszy, syberyjska rzeka.
Druga na cię w greckim alfabecie czeka,
Pierwsza i czwarta znowu to nauczycielka,
Trzeciego, czwartego użyta moc wielka
Sprawia ból głowy Ewy zaś Adama
Na rodzaj ludzki ściągnęła gniew Pana.
Całość roślina wśród lasów rosnąca,
Lecznicy, czarny owoc, niewielki rodząca.

III.

(Ułożył Karol Syposz z R.).

Z Maćka jest porządny pierwszy drugi [trzeci pół czwarty,
Gdyż nie chodzi po karczmach, żeby gry- [wać w karty,
Jak jego rówieśnik drugie trzecie pół [pierwsze,
Maciek zwynle siada, pisze sobie wiersze.
Kaśka woła na Maćka, że gotowa pierw- [sza druga,
Aby szedł do śniadania, a potem do pługa,
Druga trzecia czwarta znów idzie do szkoły.
Przy całości Maciek służył; miał tam czas [wesoły.

3. Łamigłówka.

(Ułożył M. Blum z W.).

Z następujących sylab utworzyć 9 wyrazów, których pierwsze litery, czytane z góry na dół, utworzą tytuł poematu:

Pi-te-ta-wiel bus-bań-je-ktyw-dal-de-nka-czy-re-er-świ-kra-de-re-ne-is-zy-cy-błąd.

Znaczenie wyrazów: 1) Góry w Europie połud. 2) Zagadka obrazkowa. 3) Imię żeńskie. 4) Nazwa fabryki chemicznej. 5) Agent policji. 6) Zwierzątko domowe. 7) Zwierzę pociągowe w krajach gorących. 8) Gazeta. 9) Naród.

4. Układanki geagraficzne.

(Ułożył Jan Smaza z Z.).

Samogłoska + podpora = kraj w Ameryce.
Spółgłoska (fonet) + zwierzę dzikie + spółgłoska = miasto polskie.
Przysłówek + imię żeńskie = rzeka w Eur.
Imię męskie + zaimek = miasto w Polsce.
Zwierzę ziemne + samogłoska = wyspa.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 7 lutego b. r.

Znaczenie zagadek z Nru 2 „Roli": 1. Rebus: „Patrz Kościuszko na nas z nieba... i t. d. 2. Zagadki: I. Masło-słoma. II. Karze-rzeka. 3. Logogryf: Antoni Stanisław Bassara. 4. Szarady: I. Pokucie. II. Kukurydza.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jaworski Stefan z P., Franciszek Klimeczko L. 131 z W., Franciszek Węgiel z D., Józef Lis z D., Jan Gara z W., Michał Sitko z G., Jan Kapota z Ł., Karol Sadlik z M.

Nagrody wylosowali pp.: Michał Sitko z G. i Karol Sadlik z M.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Obraził go.

— Ty nie masz pojęcia, Izydor, co to za łajdak ten Zyłbermacher. On wczoraj nazwał mnie „stary osioł“.

— A to dopiero! Przecież ty jeszcze nie masz czterdziestki.



Pewna.

— Jak pani może iść za takiego człowieka, on siedział w więzieniu od 15 roku życia do tego czasu.

— Tem lepiej, mam przynajmniej przekonanie, że jestem jego pierwszą miłością.

Pewien profesor na zachodzie obliczył, że przeciętna krowa porusza szczękami 41 tysięcy razy na dzień. Jak to dobrze, że krowa nie umie mówić i bawić się plotkami.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:
w dniu 24 stycznia b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·62 zł.	Jałownik	od 1·20 do 1·70 zł.
Woły . .	od 1·20 do 1·75 zł.	Cielęta .	od 1·40 do 2·42 zł.
Krowy .	od 0·84 do 1·65 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	2·21 do 2·62 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·80 do 3.30

Giełda płodów rolniczych
z dnia 24 stycznia b. r.

Pszenica .	34·00—34 50	Słoma długa	7·00—7·50
Żyto .	19·50—20·00	Ziemniaki stoł.	6·00—0·00
Owies . .	15·50—16·00	Koniczyna nasienn. czer.	160·00—170·00
Jęczmień .	19·00—19 50	Mąka żytnia	37·50—38·50
Fasola biała	75·00—80·00	Mąka pszen.	69·00—70 00
Groch zwyk.	40·00—42·00	Otręby pszen.	15·00—00·00
Siano słodk.	9·00—9·50	Otręby żytnie	13·50—14·50
Łubin żóły	29·00—30·00	Mąka czerw.	18·00—19·00
Koniczpastew.	11·00—12 00		

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Kalendarze ścienne „Roli“ są w do nabycia Administracji **„Roli“. Cena wraz z przesyłką 55 groszy.**